czas. 2552/1979/19
Egzemplarz obowiązkowy
B. BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 16 IX 1979 NR 19 (687) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

MAJDANEK

Dokumenty z „epoki pieców"

Mirosław Derecki

PRZEZ szeroką, przeszkloną ścianę pawilonu stojącego u wejścia do Muzeum spoglądam na otoczony kolczastymi drutami, dziewięćdziesięciohektarowy, pokryty zieloną trawą, obszar. Brązowieją w oddali baraki III pola, ciągnie się ku horyzontowi wyrównana linia drewnianych wież strażniczych, wznosi się w górę wysoki, samotny komin krematorium. Państwowe Muzeum „Majdanek".

„Majdanek — cmentarzysko Europy". Takie określenie nasunęło się od razu ludziom, którzy w ostatnich dniach lipca 1944 roku, prosto z dalekiego marszu ku Polsce weszli z filmowymi kamerami na teren opustoszałego obozu zagłady. Jeden z tych ludzi, operator Czołówki Filmowej I Armii Wojska Polskiego, znany później dokumentalista Stanisław Wohl, tak wspominał po latach na stronach tygodnika „Film": *Dotarliśmy tam dosłownie w kilka minut po ucieczce Niemców. W paleniskach krematorium tliły się niedopalone zwłoki [...] Wreszcie dotarliśmy do kancelarii. Stały tam rzędy segregatorów. Nie mieliśmy wiele czasu, ale zaczęliśmy je przeglądać, żeby dowiedzieć się, co zawierają. Znajdowały się w nich listy takiej mniej więcej treści: «Jestem żoną niemieckiego żołnierza walczącego na froncie wschodnim. Mam dwoje dzieci w wieku lat 4 i 6. Proszę mi przysłać komplet ubranek i zabawki. Specjalnie proszę o przysłanie śpiącej lalki.»*

Zdjęcia wykonane wówczas przez polskich filmowców-żołnierzy miały się stać podstawą do zrealizowanego wkrótce pierwszego wstrząsającego dokumentu filmowego z „epoki pieców".

Majdanek jest dzisiaj cichy, skąpany w łagodnym, wrześniowym słońcu. Widzę jak wyasfaltowanymi drogami sunie rząd wycieczek, kierując się

Dokończenie na str. 4—5

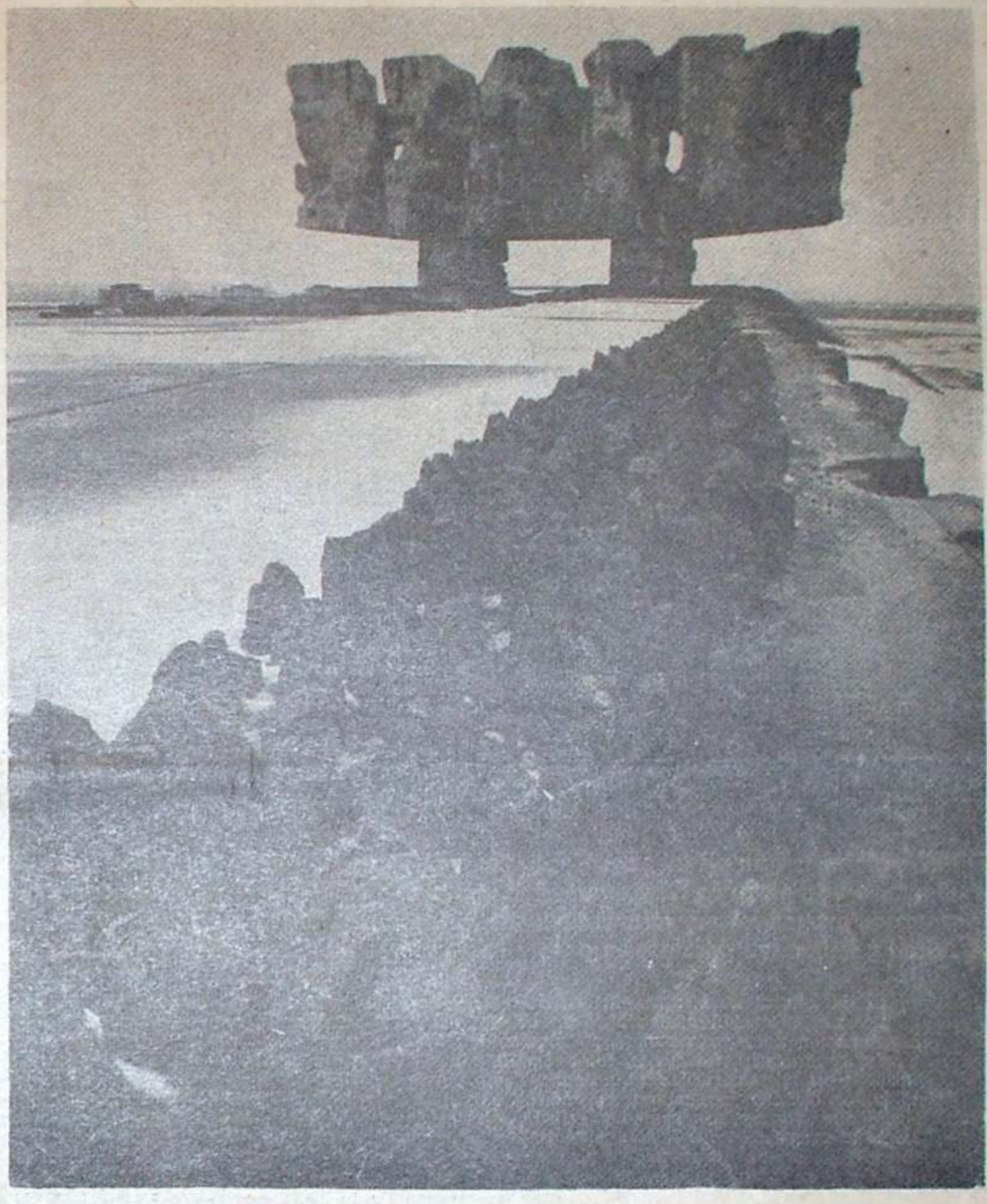

Z zestawu „Majdanek" Fot. A. Polakowski

Miasto wkracza w wiek męski

Ireneusz J. Kamiński

WYTWÓRNIA Sprzętu Komunikacyjnego, kilkanaście parterowych baraków (hotele robotnicze, stołówki, świetlica itp.), kilka pierwszych bloków mieszkalnych w stylu prowincjonalnej MDM, kawał łąki służącej jeszcze przed wojną jako lotnisko szkoły Ligi Obrony Powietrznej Państwa, dwie błotniste ulice — to wszystko, przemierzane codziennie przez kilka tysięcy ludzi nie urodzonych tutaj, 7 października 1954 roku zostało mianowane miastem. Fakt ten nie wzbudził entuzjazmu, czy innych emocji wśród obywateli Świdnika, którzy trafili w to miejsce z Lublina, Białej Podlaskiej, Warszawy, Gliwic, Mielca, z wielu dookolnych wsi i zapyziałych miasteczek — z konieczności życiowych, z nakazom pracy w kieszeni, drogą przeniesienia służbowego. Świdnik to była WSK: dla członków partii i zetempowców — zadanie bojowe, dla wszystkich — okazja godziwego zarobku, jaką dawał przemysł, i szansa zdobycia kwalifikacji. To wszystko, co znajdowało się poza zakładem, traktowano jako sypialnię, stołówkę i bawialnię. Wiele mieszkań w nowych blokach — szczyt marzeń zapracowanej Polski planu sześcioletniego — szydziło pustką: kadra WSK chętniej lokowała się w pobliskim Lublinie, przekładając dojazdy do Świdnika nad bytowanie wśród zdrowych skądinąd lasków, tak cenionych w latach międzywojennych przez letników. Urzędowe narodziny miasta — cóż to zresztą miało za znaczenie dla ludzi, którzy w tymże właśnie roku zaczęli żmudne przygotowania do produkcji śmigłowca na licencji radzieckiej, odpowiednio, naturalnie, adaptowanej do naszych potrzeb. Wśród załogi WSK byli jeszcze fachowcy, którzy na paryskim Międzynarodowym Salonie Lotniczym w 1938 roku skutecznie prezentowali samolot szkolno-bombardujący „Wyżeł" i światowej renomy szybowiec „Rekin" z wytwórni w Białej Podlaskiej.

Tak sprawa wyglądała w najogólniejszych zarysach. Niektórzy z pracowników WSK wręcz namacalnie odczuli jednak fakt powołania administracji miejskiej w Świdniku. Do nich należał Leon Nazaruk, stolarz, młody człowiek liczący wówczas 24 lata. Do Wytwórni trafił w 1951 roku, skierowany przez powiatową instancję partyjną Białej Podlaskiej. Początkowo działał w zarządzie zakładowym ZMP, później pełnił funkcję zastępcy kierownika do spraw polityczno-wychowawczych w miejscowym aeroklubie, aby po wyborze na radnego zostać nieoczekiwanie dla siebie samego przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Świdniku. Nazaruk do dziś nie wie dokładnie jak do tego doszło, jakim cudem stał się nagle pierwszą w historii głową 6-tysięcznego miasta in statu nascendi, o pejzażu społecznym przypominającym dworzec kolejowy wzno-

Dokończenie na str. 3

Matylda Wełna

POKÓJ

Przypomnienie

Jak wspaniała nasza postać,
kiedy w słońcu błyszczy stal.
Koń rży gromko, nie chce ustać,
pójdziesz, koniu, pójdziesz w dal...
(Piosenka żołnierska)

Niebo podało białą kartkę
jak welin jedwabistą
na Placu wystrzelono salwę
a niebo na to: zapisz wszystko

zapisz czym prędzej i bez reszty
że jam jest niebo takie samo
ogromne śliczne i bez chmurki
– tamtej tragedii ramy

tamtego lata najpierw były
manewry letnie bardzo piękne
i zimne mleko chłopcy pili
mrugając do szczęśliwych dziewczyn

mężczyźni odchodzili z wioski
potem a płacz roznosił serca
i już waliły się na Polskę
czołgi i bomby bez miłosierdzia

II

Niebo podało czystą kartkę
lazur jak perła przydymiony
w zielonym Placu amfiteatrze
paliły się – pochodnie

mundury mieli nowiusieńkie
a hełmy w siatkach przepisowo
i byli piękni jak we Wrześniu
lecz nie musieli bić się o Nią

przyszli uświetnić tylko chwilę
przyszli wzruszenie z gardeł wydrzeć
i padła – salwa honorowa
białych goździków pęk Ojczyźnie

miała na sobie letnią suknię
i plecy gołe jak chce moda
i każdy z tych zielonych wiedział
za kraj tej sukni życie odda

śmiały się panny z trotuarów
orkiestra na głans wyczyszczona
niewiele trzeba było im wyrazów
serca zawrzały w saksofonach

„soldat inconu" – święte miejsce
ptactwem harcerzy otoczony
i ktoś przemawiał łzy łykając
ściekała zieleń z wierzb wokoło

plecy Ojczyzna miała gładkie
jak smagła zorza opalone
trzydziestopięcioletnia matka
a także młoda piękna żona

z takich co właśnie wczoraj z wczasów
nad polskim morzem przyjechały
i każdy żołnierz tak jak łasuch
łapczywie za nią myrgał gały

wojskowych pełne są ulice
galowe stroje rękawiczki
a granatowo-biała młodzież
unosi ich wraz z sobą wartem Wisły

III

Niebo podało czystą kartę
błękitny welin jaśniusieńki
młoda Ojczyzna młoda matka
w główki całuje niemowlęta

i tyle młodych kobiet w ciąży
i wszystkie piękne z tym brzemieniem
sukien materia ich opływa
Grecji rzeźbionej przypomnienie

i uśmiechnięte idą w słońce
co lekko się pod wieczór kłoni
mężczyzn trzymają swych przy sobie
mocno zaborczo dłoń we dłoni

jest taka pełnia taki dosyt
w amfiteatrze tego Placu
gdzie na kościele krzyż się srebrzy
na schodach Poczty ludzie płaczą

zieleń się pieni tryumfalnie
jeszcze błyszcząca w centrum miasta
bielszą niż górski szczyt fontannę
topola trzykroć już przerasta

magnackie niegdyś dwa pałace
przed ludem pokłoniły głowy
sypie się biały pył fontanny
– piasek na tekst pergaminowy

i tyle barw i takie tłumy
i takie święto takie święto
i płacze ten kto płakać umie
i ten – kto tamte dni pamięta

Lublin 1.IX.79

z notatnika

1.IX. Dziś czterdziesta rocznica wybuchu drugiej wojny światowej. Należę do tej jednej czwartej dzisiejszego społeczeństwa polskiego, która ów dzień pamięta... Tym razem główne uroczystości z udziałem przedstawicieli najwyższych władz państwowych i partyjnych odbywają się w Gdańsku. Na patriotycznej manifestacji wygłasza przemówienie Edward Gierek. *Wrzesień 1939 r.* — podkreśla I sekretarz KC PZPR — *był dramatycznym potwierdzeniem historycznej prawdy, że za słabość i zacofanie, za błędną politykę wewnętrzną i międzynarodową płaci się cenę niezwykle wysoką. [...] Świadectwem moralnej i ideowej siły narodu polskiego, jego patriotyzmu na zawsze pozostanie fakt, iż nie załamał się on pod ciężarem klęski, ani też w obliczu groźby biologicznej zagłady. Żołnierze polscy toczyli mężny bój na wszystkich frontach wojny. W kraju rozwinął się potężny ruch oporu, a wychodźstwo polskie wniosło wielki wkład do antyhitlerowskiej walki wyzwoleńczej wszystkich narodów Europy.*

Leon Pająk, major rezerwy WP, najwyższy rangą wojskową żyjący z obrońców Westerplatte, odczytuje tekst posłania do narodów i parlamentów świata: *...Odwołujemy się do serc i umysłów ludzi na całym świecie, aby swym działaniem nie dopuścili do bezmiaru nieszczęść, jakie niesie wojna. [...] Naród polski ma szczególne moralne prawo powtórzyć dziś z całą mocą wezwanie: nigdy więcej wojny!*

W związku z wrześniową rocznicą sięgam do książek poświęconych temu okresowi historii naszego narodu. W publikacji „Więzi" z 1972 r. („Wrzesień 1939") znajduję nieznane mi teksty pochodzące z broszur „Kampania wrześniowa w oświetleniu niemieckim", wydanych w czasie okupacji przez wydawnictwo Polski Podziemnej. Pozwolę sobie tu przytoczyć relację Kurta Froweina i Wilfreda v. Ovena („Schluss mit Polen"):

To był pierwszy polski żołnierz, którego ujrzały moje oczy. Na progu granicznej zagrody leżał we krwi z ziemistą twarzą, skurczony z bólu, kolana przy piersiach. Z jego zaciśniętych warg wyrwał się lekko dosłyszalny szept: „Wody". Napojony skonał z uśmiechem. Spoczywa teraz na miejscu, na którym padł, pod prostym drewnianym krzyżem, ozdobionym jedynie polskim hełmem i napisem: „10 polskich żołnierzy".

Ten polski piechur zginął jak prawdziwy żołnierz. Bronił nakazanego stanowiska do końca. Jego ładownice były puste, a w magazynku karabinu znajdowały się tylko dwa naboje w chwili, gdy trafił go śmiertelny strzał.

Bronił swego stanowiska do ostatka, choć wiedział, że to śmierć. A obok przy oknach zagrody, zamienionych w strzelnice, we wnękach strzeleckich, wykopanych w ogrodzie, hen gdzieś na granicy, śniło w tym momencie już swój wieczny sen 9 jego towarzyszy piechurów.

Drużyna, którą tworzyli, zajmowała stanowisko w zagrodzie o kilkaset metrów od granicy. Tu 10 ludzi z jednym ręcznym karabinem maszynowym i 10 karabinami oczekiwało niemieckiego natarcia. Nie mieli za sobą innych silniejszych oddziałów. Wojska polskie koncentrowały się o kilkadziesiąt kilometrów w głąb.

Żołnierze ci rozumieli swój los, który musiał się spełnić, w chwili gdy armia niemiecka poważnymi siłami przekroczyła granicę. Wiedzieli, że opór ich może zatrzymać nieprzyjaciela tylko przez kilka godzin najwyżej, a może nawet minut. Jasne było dla nich, że potem przewaga sił nieprzyjacielskich ich zmiażdży. Tych 10 nie myślało jednak o odwrocie. Nie przyszło im do głowy wsiąść na stojące w pogotowiu na tyłach zagrody rowery. Zostali w zagrodzie trwając w pogotowiu. A gdy o mglistym świcie dnia 1 września 1939 świsnęła od strony niemieckiej pierwsza kula, złożyli się ze swych karabinów, odpowiadając strzałem na strzał. Monotonnie terkotał karabin maszynowy i każdy pełnił swą służbę tak, jak na musztrze w koszarach. Ani jeden z nich nie opuścił żywy zagrody na granicy, powierzonej ich straży.

Nie wiem, kim byli autorzy tej relacji, ale domyślam się, że wchodzili w skład atakującego Wehrmachtu. Wehrmachtu, który strzelał do polskich żołnierzy n i e t y l k o na polu walki, ale bezpośrednio uczestniczył w pierwszych egzekucjach. Ale w tymże Wehrmachcie mogli również znaleźć się ludzie, którzy całkowicie nie zatracili człowieczeństwa.

4.IX. Już po przygotowaniu bieżącego numeru „Kameny", w którym sporo uwagi poświęcamy rocznicy wyzwolenia hitlerowskiego obozu koncentracyjnego na Majdanku, odnalazłem w swej bibliotece jednodniówkę poświęconą pamięci bohaterów Majdanka, a wydaną we wrześniu 1947 roku. Wśród zamieszczonych na jej łamach wierszy utwór Eugeniusza Gołębiowskiego pt. „Pieśń SS-manów oświęcimskich":

Tempo! Tempo!
Eins, zwei, drei —
Arbeit macht frei...
Zamykać, otwierać stalowe zawory
Gazowej komory,
Tonna za tonną
Przerabiać masę surowca ogromną,
Coraz to nowe odbierać transporty.
Rozdzielać na piece, układać
w retorty,
Sączyć rurami z ogromnych rusztów
Kropla po kropli hektolitry tłuszczu,
Stosy budować i palić trupy
Na popiół i kostne skorupy,
Hej popielarze! Bierzcie rzeszota!
Szukać nam trzeba w popiele złota.
Wy zaś, cudaczni siewcy popiołów,
Sypcie i siejcie popiół do dołów
I, siejąc pospołu z popiołem kwiaty,
Dzwońcie radośnie w robotne
łopaty!
Bo my, nadludzie, dźwigamy stropy
Nowej, cudownej Europy!
My biesy, nie-biesy —
Esy-esesy,
Tutaj to pośród rusztów i krat
Boga uczymy budować świat!

Nie wiem, czy Eugeniusz Gołębiowski ów wiersz pamięta. Wiersz signum temporis...

7.IX. Na łamach kieleckich „Przemian" felieton Wiesława Jażdżyńskiego pt. „Nad mogiłą skromności". Jażdżyński pisze:

...Oto pan Stefan Pastuszewski, wielki obrońca młodych literatów niezrzeszonych przedstawia w „Faktach 79" zaiste przerażający obraz krzywd, jakich doznają młodzi adepci prozy, a przede wszystkim poezji. Początkujący pisarz jest lekceważony, żaden wydawca ani redaktor pisma nie chce z nim rozmawiać bez pół litra czegoś elitarnego na początek. Gnębią, nie zauważają, każą antyszambrować. Czegóż więc młodym trzeba, aby wyjść z impasu? Stefan Pastuszewski podaje następującą receptę: „Uważam, że Koła Młodych — jeśli faktycznie mają współtworzyć młodą literaturę, to powinny być bardziej samodzielnymi dysponującymi pewnymi środkami finasowymi ogniwami Związku, albo opierać się o silnego, życzliwie nastawionego mecenasa [...]" Wynika z tego wywodu bardzo jednoznacznie, że młodej literaturze brakuje już tylko pieniędzy, reszta dawno załatwiona. O samej twórczości — jaka ma być, czego dotyczyć, komu w końcu służyć — ani słowa. Dajcie pieniądze, dobrego mecenasa, a będziecie mieli literaturę. Znam wielu młodych pisarzy. Są wśród nich rzeczywiście utalentowani, skromni, rzeczywiście natrafiający na wiele przeszkód. Ale znam także bardzo zarozumiałych. Ich najbardziej zaangażowana twórczość zaczyna się zwykle od słów: proszę o przyznanie mi rocznego stypendium, możliwie wysokiego abym mógł tworzyć nie zmuszając się do pracy. I ta właśnie zarozumiała postawa rezydenta, którego powinna utrzymywać ojczyzna, wskazuje, jak ów coraz powszechniejszy brak skromności sięga głęboko...

Zacytowałem Jażdżyńskiego, bo w dużej mierze zgadzam się z jego opinią. Byłoby interesujące dla szerszego ogółu, gdyby tak przeprowadzić analizę i przekonać się, ilu to młodych twórców rzeczywiście studiuje, ilu pracuje, a ilu żyje z dnia na dzień czekając na stypendium, bądź już je mając. Autor tomiku wierszy o 300-500 egzemplarzach, wierszy, z których żadnego nie zapamięta się na trwałe, uważa się często za niemal wieszcza. I jest wyraźnie zły, gdy redakcje nie biją się o jego teksty, gdy nie piszą entuzjastycznych recenzji, nie dostrzegają tak wspaniałego talentu...

Popierajmy młodych twórców, ale nie wpadajmy w przesadę. „Źródła" — kolumny młodoliterackie w „Kamenie" — redagowane są na zasadzie autonomicznej. Wiersz Sławomira Myki na jednej z tych kolumn w n-rze 17 „Kameny" wydał mi się bełkotem. Ale jak młodzi redaktorzy kwalifikują go do druku... Ich sprawa. Teraz otrzymałem, niestety anonimowy, słubiutki zresztą, wierszyk podpisany „Kasandra" stanowiący odpowiedź na utwór Myki pt. „Prośba". Zacytuję początek:

A cóż to za hrabia
na włościach i zamkach,
co z Reformy wyszedł bez żadnego
szwanku?
Jeszcze herbem Kufla siebie
pieczętuje.
Na szczęście tych kuflów w
krajpach nie brakuje.
Lecz takich hrabiów
jakimi są M y k i
nie odnotowały żadne kroniki...

I tak dalej w tym duchu. Zakończenie wiersza jest apelem pod adresem „Kameny":

A na zakończenie życzę tej
KAMENIE
niech od dziś oblicze swoje zmieni.
Niech młodych poetów i zacnych
pisarzy
weźmie trochę krócej za rozwiązłe
twarze.

Nie sądzę, aby można mówić o rozwiązłych twarzach czy też rozwiązłych piórach. Ale z pewnością można mówić — i nie tylko mówić — o większej selekcji utworów poetyckich kwalifikowanych do druku. Nie tylko w „Kamenie". Dla dobra samych młodych twórców, albo lepiej — kandydatów na twórców... No i, oczywiście, dla dobra samych czytelników.

Marek A. Jaworski

Dyrektorowi Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego
RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH"

TADEUSZOWI FICIE

po stracie

OJCA

wyrazy głębokiego współczucia

składa

Kolegium Redakcyjne i zespół „Kameny"

Dokończenie ze str. 1

szony przez podróżnych. Miał energię, zetempowski zapał, to prawda, ale miał też zaledwie 27 lat i niełatwy teren do zagospodarowania. Na wstępie, przy pomocy innych członków Prezydium i jedynej urzędniczki, umeblował pięć pustych mieszkań przy ul. 22 Lipca, przydzielonych młodej władzy na biura, później przejął administrację terenu od WSK, przeprowadził pełną inwentaryzację majątku miasta, zainicjował gospodarkę komunalną i zachęcił rolników Krępca do rozbudowania tamtejszej szkoły w czynie społecznym... aby przed końcem trzyletniej kadencji zrezygnować ze stanowiska i powrócić do fabryki. Rzecz w tym, że oprócz splendorów przewodniczący otrzymywał miesięcznie 960 zł, nieco później 1300, co jednak nie pasowało do potrzeb rodziny, składającej się oprócz niego z niepracującej żony i dwojga dzieci. Do „zmiany barw" zachęciły ponadto Nazaruka zarobki jego kolegów z WSK, sięgające 4 tysięcy miesięcznie, co w owych czasach było kwotą zachęcająco tłustą. Dzisiejszy mistrz na jednym z wydziałów świdnickiej fabryki ocenia swój dawny mariaż z administracją jako nieporozumienie, czego zupełnie nie podzielają starzy obywatele miasta: emerytowani i ci, którzy w liczbie 300 pracują nadal w WSK, przybywszy tutaj w pionierskich formacjach budowniczych zakładu.

Leon Nazaruk zajmuje obecnie dwupokojowe mieszkanie przy ul. Kochanowskiego, w którym swego czasu żyło dziewięć osób: on z żoną, ich trzech synów, dwie synowe i dwoje niemowląt. Teraz jest tam luźniej, bo najstarszy syn wyjechał na Śląsk z rodziną po skończeniu krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, a najmłodszy służy w wojsku. Średni pracuje w WSK jako mechanik lotniczy — niedaleko swej żony, która jest szlifierzem. Nazarukowie wrośli w Świdnik, a pomyśleć, że senior rodu po przyjeździe na ten teren w 1951 roku, po rozejrzeniu się dokoła chciał zwiewać gdzie choć pszenica jakaś rośnie. Teraz Leon Nazaruk twierdzi, jakby trawestując Konopnicką, że nie ma piękniejszego miasta nad Świdnik. I przypomina, że już za jego kadencji w Prezydium mówiło się o konieczności wzniesienia domu kultury z prawdziwego zdarzenia, którego to przybytku los poskąpił miastu do dziś. — Tymczasem Mielec i Kraśnik, ośrodki pokrewne Świdnikowi, dorobiły się czegoś takiego — dodaje inżynier Jan Winiarczyk, jeden z dwu najstarszych stażem pracowników WSK, który skierowany przez partię na budowę zakładu, z polecenia dyrektora Konrada Białego (obecnie wykładowcy w Politechnice Lubelskiej) zorganizował straż przemysłową, a potem, jako pracownik działu kadr, przyjmował do WSK pierwszego inżyniera: Adama Hadrawę, przedwojennego konstruktora samolotów w Białej Podlaskiej, po wyzwoleniu pracownika gliwickiego biura projektów hutnictwa, gdzie należał do grupy opracowującej założenia techniczne Nowej Huty.

Winiarczyk — do 1951 roku znał nazwiska wszystkich pracowników budowanej WSK — ukończył wieczorowe technikum lotnicze, później uzyskał dyplom inżyniera lubelskiej WSI, dwa lata temu dorobił się magisterium, teraz myśli o doktoracie. Początkowo mieszkał w Lublinie, gdzie WSK posiadała dwa mieszkania hotelowe na ZOR-Zachód. Po ożenku w 1953 roku zaczął stawiać dom własny na działce, którą otrzymała jego żona, również pracująca w zakładzie. Rzec można, że inżynier Winiarczyk wmurował się w Świdnik.

Hadrawa był szefem inwestycji WSK, pracował na innych stanowiskach. Obecnie na emeryturze mieszka w Lublinie, lecz nadal nie traci służbowego kontaktu z zakładem, prowadząc kronikę Wytwórni i gromadząc materiały do jej muzeum, którego budynek znajduje się w trakcie budowy.

Kiedy Leon Nazaruk powracał do fabryki, w Świdniku pojawił się młody inżynier po studiach w Leningradzie: Stefan Badurowicz. Pochodził z jakiejś zabiedzonej miejscowości Lubelszczyzny, skąd po ukończeniu szkoły podstawowej bez wahania rzucił się, piętnastoletni chłopak, w świat spocony i czarny, ale obiecujący to, o czym tak często pisała prasa pierwszej połowy lat pięćdziesiątych: nobilitację społeczną. Zaczepił się w Gliwicach, później przeniósł do Zabrza, gdzie ucząc się w liceum mechanicznym dorabiał na życie pracą w kopalni. Skierowanie na Politechnikę Leningradzką otrzymał jako przodownik nauki i pracy społecznej.

W Świdniku przyjęto Badurowicza z otwartymi rękoma: znał rosyjski język techniczny, a na stołach konstruktorów WSK spoczywały kilogramy dokumentacji radzieckiego śmigłowca; tylko nieliczni z personelu technicznego fabryki znali ów język. Co prawda już w 1957 roku WSK rozpoczęła seryjną produkcję maszyny oznaczonej symbolem SM-1 konstrukcji dr. Michaiła Leontynowicza Mila, ale fakt ten, głośny w kraju, nie kończył, lecz otwierał przed zakładem drogę do wielkiej awiacji, oznakowaną m. in. długimi seriami modelu Mi-2, produkowanego w wersjach: pasażerskiej, sanitarnej, dźwigowej, rolniczej, szkolnej, agro- i

Miasto wkracza w wiek męski

Fot. CAF

fotogrametrycznej, które w znacznym stopniu były wynikiem inwencji polskich inżynierów. Więc w 1958 roku przyjęto Badurowicza dobrze — oferując mu na początek pracę w biurze konstrukcyjnym oraz łóżko w 20-osobowej sali hotelu robotniczego, którego długo przecież nie ogrzewał.

W tym czasie wzbogacał się o kolejne bloki mieszkalne sam Świdnik — miasto służebne wobec WSK, które w perspektywie powinno osiągnąć 30 tysięcy mieszkańców. W planie urbanistycznym był to rozwój polegający na dodawaniu kolejnych osiedli do pierwszych kolonii barakowych i wpisywaniu ich w układ geometryczny oparty o skrzyżowanie ulic Sławińskiego i 1 Maja. Przy końcu 1959 roku w rejonach wysokiej zabudowy znajdowało się 58 budynków z 3885 izbami, a więc sześciokrotnie więcej, niż w roku 1951 (10 domów). Od kilku lat działał już zakładowy dom kultury i klub sportowy „Avia", przed 1953 rokiem noszący nazwę RKS „Stal" Świdnik. To właśnie piłkarze „Stali" w swym pierwszym publicznym występie pokonali jedenastkę lubelskiej FSC 3 : 2... W latach sześćdziesiątych WSK wybudowała stadion z pawilonem, krytą i otwartą pływalnię oraz halę sportową. W 1960 roku zaczęto w Świdniku wznosić kolejne szkoły podstawowe i zawodowe.

W 1960 roku Świdnik liczył 12 779 mieszkańców, pięć lat później — 16 735, w 1970 — 21 973. Miasto rozwijało się liczebnie, ale ulice nadal były kiepskie, słabo oświetlone, czasami wręcz niebezpieczne dla ludzi o łagodnym usposobieniu. Obywatele narzekali na usługi i handel; w pewnym okresie pracował w Świdniku tylko jeden zakład fryzjerski. Służba zdrowia nie osiągnęła jeszcze pełnej sprawności, zakładowy dom kultury, mieszczący się w starym hotelowym baraku, pękał w szwach, no i pojawił się tzw. problem mieszkaniowy. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego szeroko wspierała miasto, ale wszystkich jego spraw nie była w stanie rozwiązać. Wymagały one znacznych nakładów inwestycyjnych i silnej władzy wykonawczej, a takie moce nie leżały w kompetencjach nawet dyrektora WSK w latach 1969—1973, Władysława Janika, człowieka o wyjątkowych zaletach charakteru i umysłu.

W sferze budownictwa mieszkaniowego pewne oznaki polepszenia sytuacji pojawiły się w 1968 roku. Po jedenastu latach istnienia faktycznie rozwinęła działalność świdnicka Spółdzielnia Mieszkaniowa, która w okresie 1971—1975 przekazała ok. 1400 mieszkań, w większości pracownikom WSK. Wtedy też, w lipcu 1975 roku, jej prezesem został inżynier Stefan Badurowicz, który po siedemnastu latach pracy w WSK, m. in. na stanowisku głównego energetyka, nosi obecnie w klapie marynarki herb Świdnika, „opublikowany" zresztą niedawno według trafnego projektu Henryka Szulca.

W bieżącej pięciolatce spółdzielnia wybuduje ponad 2400 mieszkań. To ważne. Rok temu oddała pierwszy na Lubelszczyźnie budynek rotacyjny dla młodych małżeństw, zawierający 147 mieszkań o powierzchni 32 m kw., co w zupełności wystarcza na „przeczekanie" w kolejce do prawdziwego mieszkania. To także fakt godny uwagi, a przy tym zwracający uwagę ciekawym szczegółem obyczajowym: pierwsze w Świdniku windy pierwszego wysokiego budynku eksploatowały początkowo przede wszystkim dzieci, nierzadko w towarzystwie rodziców oddające się „turystycznym" przejażdżkom między piętrami. Spółdzielnia wznosi trzeci z kolei blok patronacki, budowany własnoręcznie przez młodych ludzi — przyszłych jego lokatorów. To także ważne, podobnie jak fakt szerokiego zainteresowania instytucji rozwojem kultury w klubach osiedlowych, które w istotnym zakresie rekompensują mieszkańcom Świdnika brak miejskiego domu kultury. Ale warto też zwrócić uwagę na sprawę pozornie drugorzędną, związaną z nazewnictwem. Otóż niektóre osiedla spółdzielni ochrzczone są nazwiskami lokatorów posiadających większy od innych instynkt społecznikowski. Tak więc są osiedla Sowy, Glinki, Kowalskiego... Na ich wezwanie mieszkańcy tłumnie biorą udział w czynach społecznych, usuwają rupiecie pozostawione przez budowlanych wokół nowych budynków — nawet wieczorem, oświetlając sobie teren żarówkami na przewodach wyprowadzonych z mieszkań.

Poprawił się również handel, szczególnie po roku 1976, kiedy to sklepy i zakłady gastronomiczne Świdnika przejęła WSS „Społem", która z miejsca zabrała się do modernizacji swojego majątku. Warto przy tym wiedzieć, że „Społem" rozwija skutecznie działalność społeczno-wychowawczą i kulturalną.

Przez wiele lat Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego dawała miastu wiele wartości materialnych i dobrych pomysłów, co zresztą jest nadal aktualne. WSK wspomaga przedszkola, służbę zdrowia, 500 tys. zł rocznie przekazuje Spółdzielni Mieszkaniowej na cele społeczno-wychowawcze, otwiera dla mieszkańców Świdnika swój bardzo dobrze wyposażony i sprawnie działający ośrodek rehabilitacji zawodowej (koszt hali z wyposażeniem — ok. 14 mln zł), finansuje kulturę i sport, ale też korzysta coraz częściej z urządzeń miejskich. Brakowało w Świdniku miejsc pracy dla kobiet — matek, żon czy córek mężczyzn zatrudnionych w WSK, więc w 1972 roku przeniesiono z Lublina do baraków dawnego osiedla zakładowego na Franciszkowie Spółdzielnię Pracy Dziewiarsko-Włókienniczą im. M. Fornalskiej, która po uporządkowaniu zdewastowanego terenu (i zasadzeniu tysięcy róż) dała godziwy zarobek kilkuset osobom, zyskując ponadto 20 znaków jakości, w tym dwa „Q" za swoje wyroby, eksportowane do kilku krajów świata, nawet do Dubaju na Bliskim Wschodzie, lecz w większości przeznaczane na rynek krajowy. Cygańska rodzina Sokołowskich — bodaj 12 czy 15 osób — może tylko żałować, że nie wstąpiła do spółdzielni, korzystając z prawa zasiedzenia na tym terenie. No cóż, wabiły ją innego rodzaju zajęcia.

Tak, zakład nadal jest potentatem i głównym czynnikiem miastotwórczym. Zrozumiałe: co 12 mieszkaniec 30-tysięcznego dziś ośrodka pracuje w WSK, której dzienna produkcja przewyższa podobno pod względem wartości roczny budżet miasta. Dość powiedzieć, że za 1 kg śmigłowca Wytwórnia otrzymuje 4—5 tys. zł (a za 1 kg motocykla tylko 100 zł), co zachęca ją do intensywnych poszukiwań nowych rynków zbytu za granicą, do rozwijania marketingu — czułe miejsce dyrektora Jana Czogały — i produkcji nowych modeli: od dwu- do czternastoosobowych. Równolegle jednak — po reformie administracji w 1975 roku nie można było tego nie zauważyć nawet gołym okiem — rozwija się samo miasto, które, owszem, oddając co należne zakładowi, przeprowadza nowe inwestycje, nowe urządzenia budujące Świdnik niejako od wewnątrz, także w sferze ludzkiej świadomości. Drogi i oświetlenie uliczne, zieleń, mieszkania, szpital, handel — tak, to wszystko pozostało w polu szczególnej uwagi naczelnika Stanisława Kucharuka. Ale magister praw, były wieloletni sekretarz Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kraśniku, a później przewodniczący PPRN i naczelnik Hrubieszowa, zdaje sobie sprawę, jakie znaczenie dla świdnickiego społeczeństwa mają takie jego wyróżniki, jak herb miasta, sztandar, medal pamiątkowy na 25-lecie, szkic monograficzny o dziejach Świdnika, rzeźby plenerowe na skwerach — wyróżniki świadczące o miejscu, w którym się żyje, oznaczające je w sposób symboliczny, a więc społecznie funkcjonalny. A gdyby wczytać się w jeden z tych symboli, w herb na przykład, skomponowany z litery S — nie trudno dojść do wniosku, że podział na zakład i miasto jest fikcyjny, że są to tylko elementy jednego organizmu. Można to wykazać odpowiadając na pytanie: czy narastające kłopoty z zaopatrzeniem w wodę są bardziej dotkliwe dla załogi WSK, czy też dla mieszkańców Świdnika, skoro ta pierwsza strona utożsamia się z drugą? Albo: kogo bardziej martwi fakt, że w szkołach Świdnika na jedną izbę lekcyjną przypada aż 77 uczniów, a placówki te pracują niemal na trzy zmiany, co wyczerpuje młodzież i nauczycieli?

Ludzie utożsamiają się z miastem, to widać, ale jest to na pewno proces nie zakończony. Łatwiej bowiem zbudować wielki zakład produkcyjny i tysiące izb mieszkalnych, niż środowisko społeczne młodego ośrodka robotniczego, położonego na dodatek w pobliżu dużego miasta. Ale i pod tym względem Świdnik osiągnął wartości godne uwagi i szacunku.

Ireneusz J. Kamiński

Dokumenty z „epoki pieców"

Dokończenie ze str. 1

w stronę komór gazowych, w kierunku baraków III pola z urządzoną w nich stałą ekspozycją przypominającą o bezmiarze ludzkiego nieszczęścia i bezmiarze hitlerowskiego bestialstwa.

Z prawej strony pawilonu, niby kolosalna, kamienna brama, wznosi się Pomnik Walki i Męczeństwa zaprojektowany przez Wiktora Tolkina. W dali, na lewo od krematorium, widnieje obły kształt Mauzoleum. Ten dwuczłonowy monument wzniesiono w dwudziestą piątą rocznicę wyzwolenia obozu, ku czci 360 tysięcy zamordowanych na Majdanku. „Los nasz dla was przestrogą" głoszą słowa wyryte na fryzie kopuły Mauzoleum, które kryje prochy ofiar Majdanka.

•

21 lipca 1941 r. Himmler wydał rozkaz założenia w Lublinie obozu koncentracyjnego. W pierwszej wersji miał on pomieścić *20—25 tysięcy więźniów w celu zatrudnienia ich w warsztatach i budowlach SS i policji*. Przy szosie Lublin—Zamość wybrano miejsce o obszarze 270 hektarów. *Po uzyskaniu zgody Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych* — piszą w jednej z publikacji o Majdanku naukowcy Józef Marszałek i Anna Wiśniewska — *na osadzenie w obozie również jeńców radzieckich, jego pierwotne rozmiary zostały powiększone do 150 tysięcy więźniów. Opracowany z początkiem 1942 roku plan przewidywał dalszą rozbudowę obozu. Zakładał on bowiem możliwość jednorazowego pomieszczenia 250 tysięcy osób.* Do chwili wyzwolenia obozu wykonano tylko 20 procent tych założeń, a przecież w latach 1941—1944 zdążyło ponieść śmierć na Majdanku 360 tysięcy ludzi. Ile tysięcy, milionów, wyszłoby z Majdanka „przez komin" — jak wówczas mówiono — gdyby brak materiałów budowlanych, transportu i sytuacja na froncie wschodnim nie przeszkodziły hitlerowcom w pełnej realizacji ich obozowych planów?

•

Na bocznej ścianie majdankowskiego pawilonu muzealnego, nad jasnymi, drewnianymi drzwiami zapala się zielone światełko. Znak, że właśnie rozpoczęła się projekcja filmowa. Otwieram drzwi, wchodzę w ciemność kinowej salki. Ogarnia mnie muzyka — melodia poważna, wstrząsająca; na ekranie migoce czołówka filmowa „Majdanek — cmentarzysko Europy".

Jedno otwarcie drzwi, sforsowanie bariery ciemności, przeniosło mnie momentalnie o trzydzieści pięć lat wstecz.

Oto wypalone ulice Lublina; maszerujące jezdnią oddziały żołnierzy w polowych rogatywkach, na których widnieją orły. Entuzjazm cywilnej ludności, łzy, kwiaty wręczane wyzwolicielom. A zaraz potem — zwłoki ludzi pomordowanych na Zamku i wreszcie — najazd kamery na białą tablicę u wejścia do obozu na Majdanku, tablicę z czarną trupią główką i napisem: „Uwaga! Stać! Fotografowanie wzbronione! Bez ostrzeżenia będzie zastrzelony!"...

Odwija się z filmowej taśmy straszliwy obraz-dokument: zwłoki, których nie zdążono spalić, dogasające piece krematoryjne, hałdy garderoby zrabowanej więźniom, sterty protez, butów, włosów ludzkich, zabawek dziecięcych, okularów... Wnętrza magazynów wypełnionych puszkami z cyklonem, którego nie zdążono użyć do zagazowania kolejnych ofiar... Osobna sekwencja poświęcona jest zeznaniom więźniów, którzy zdołali Majdanek przeżyć. Jeszcze w pasiakach, służąc ekipie filmowej za „przewodników" po obozie śmierci, zeznają kolejni świadkowie, przedstawiciele różnych narodowości. Wśród nich: Francuz, Holender, Belg, Austriak-antyfaszysta. Kiedy milkną świadkowie, ukazywanym przez kamerę scenom towarzyszy komentarz spoza kadru, czytany przez Władysława Krasnowieckiego. Film kończy sekwencja ukazująca pogrzeb ofiar lubelskiego Zamku i potężniejąca melodia „Roty", podłożona pod ostatnie ujęcia.

Zdjęcia do filmu „Majdanek — cmentarzysko Europy" są dziełem Adolfa i Władysława Forbertów, Eugeniusza Jefimowa, Olgierda Samucewicza, Stanisława Wohla oraz operatorów radzieckich 1 Frontu Białoruskiego — Romana Karmena, Wiktora Sztatlanda, Awenira Sofina i innych. Film został zmontowany i udźwiękowiony w Moskwie w moskiewskim Centralnym Studio „Sojuzkinokroniki", bo własne, bardzo jeszcze prymitywne podręczne fotolaboratorium naszej Czołówki Filmowej, mieszczące się w tym okresie w... łazience dawnej willi kata Lubelszczyzny Odilo Globocnika — nie sprostałoby wymogom technicznym związanym z produkcją tego 30-minutowego filmowego dokumentu. „Majdanek..." został wówczas, późną jesienią 1944 roku, opracowany w dwóch wersjach językowych: polskiej i rosyjskiej. Później miały przyjść wersje następne — angielska, francuska, niemiecka.

Pięcioma wersjami językowymi filmu „Majdanek — cmentarzysko Europy" dysponuje kino Muzeum na Majdanku. Wszak prawie codziennie przez obóz-muzeum przewija się jakaś wycieczka zagraniczna. Przeciętnie, na 250 tysięcy zwiedzających w ciągu roku, 30 tysięcy to przybysze z zagranicy.

Oglądając filmowy dokument o hitlerowskich zbrodniach na Majdanku należy pamiętać, że w czasie gdy go realizowano, a następnie wchodził do eksploatacji, toczyła się nadal wojna i nie było jeszcze wiadomo jak prędko się ona skończy. „Majdanek..." nie tylko dokumentował, nie tylko był „żywym świadectwem" ukazującym, pierwszy z wyzwolonych hitlerowskich obozów zagłady. Oskarżycielski, pełen pasji ton tego filmu, podnosił jeszcze w masach żołnierskich wolę walki, aby jak najprędzej ulżyć doli ludzi pozostających w innych obozach koncentracyjnych na terenach zajętych jeszcze przez wroga.

„Majdanek — cmentarzysko Europy", aczkolwiek najgłośniejszy, najbardziej do dzisiaj znany, nie był jedynym dokumentem filmowym o lubelskim obozie śmierci. Powstał w tym czasie również dokument radziecki, zatytułowany „Majdanek". Jego kopia znajduje się także w zbiorach Muzeum na Majdanku.

Prapremiera filmu „Majdanek — cmentarzysko Europy" odbyła się 26 listopada 1944 roku w Lublinie, w kinach „Apollo" oraz „Bałtyk" (dzisiaj „Wyzwolenie" i „Robotnik") w przeddzień rozpoczęcia procesu sześciu majdankowskich zbrodniarzy hitlerowskich z Hermanem Vogelem, Rottenführerem Waffen — SS na czele. Był to pierwszy proces zbrodniarzy hitlerowskich na wyzwolonych spod hitlerowskiej okupacji polskich ziemiach, proces wsławiony między innymi wspaniałą mową oskarżycielską prokuratora Jerzego Sawickiego. Rozpoczął on serię procesów, które wchodzą na wokandę sądową aż po dzień dzisiejszy.

•

A tymczasem na świecie nadal trwała wojna. W dniu 26 listopada prasa polska pisała o walkach Armii Czerwonej w Czechosłowacji i na Węgrzech. Reuter donosił z Londynu, że wojska 3 Armii amerykańskiej generała Pattona sforsowały rzekę Saarę a — według doniesień holenderskiego ruchu oporu — Niemcy niszczą w Rotterdamie wszystkie instalacje portowe oraz doki przygotowując się zapewne do opuszczenia miasta. Reuter zwracał również uwagę na fakt wykruszania się rezerw niemieckich w sprzęcie i w ludziach. „Rzeczpospolita" cytowała fragment listu znalezionego przy jednym z niemieckich jeńców na froncie zachodnim, do którego rodzina z Niemiec pisała, że do pracy w fabrykach amunicji kierowane są przymusowo 14—15-letnie dziewczęta, oraz że *szkoły są zamknięte, uczennice z nauczycielami pracują teraz w fabrykach, przez kilka dni nie było tutaj (we wsi) ani poczty, ani połączenia telefonicznego, ani gazet. Kursuje bardzo mało pociągów.*

Wojna miała jednak trwać jeszcze ponad pół roku, a w obozach koncentracyjnych rozsianych na terenie Rzeszy miało zginąć jeszcze wielu więźniów. Wśród nich także więźniowie Majdanka, których niemal w przeddzień wyzwolenia Lublina przez wojska radzieckie popędzono w stronę Oświęcimia.

Ostatni transport więźniów wyruszył z Majdanka 22 lipca we wczesnych godzinach popołudniowych. Tysiącosobową pieszą kolumnę SS-mani skierowali na szosę kraśnicką. Po długim marszu kolumna dotarła do Cmielowa, gdzie pozostałych przy życiu ludzi załadowano do wagonów kolejowych i powieziono do Oświęcimia.

Wielu jednak więźniom udało się uciec. Najliczniej uciekano z cegielni w Kraśniku, gdzie kolumna rozłożyła się na pierwszy nocleg. Ogromną pomoc okazali wówczas mieszkańcy Kraśnika wyprowadzając więźniów sobie tylko znanymi drogami z terenu cegielni, zaopatrując ich w żywność i ubranie. Znaleźli się wśród uciekinierów między innymi inżynier Stanisław Zelent — późniejszy wiceprzewodniczący warszawskiej Stołecznej Rady Narodowej i Czesław Kulesza, przyszły wieloletni dyrektor wydawnictw warszawskich.

Zupełnie nieprawdopodobne przygody przeżył inny więzień, Mieczysław Panz, który wyruszył 22 lipca z Majdanka jako jeden z pasażerów autobusu wchodzącego w skład samochodowej kolumny wiozącej obozowy sprzęt oraz część SS-mańskiej załogi obozu. Przez całą noc kolumna nie mogła wydostać się z miasta, z którego wychodziły niemieckie jednostki. Kierując się początkowo na szosę chełmską znalazła się — po zatoczeniu wielkiego koła — nad ranem 23 lipca u początku dzisiejszej Alei Świerczewskiego, przed mostem nad Bystrzycą, naprzeciwko budynków Wodociągów Miejskich. W pewnej chwili kolumnę zaatakował radziecki czołg, który wdarł się do miasta. W czasie bitewnego zamieszania Mieczysławowi Panzowi udało się zbiec.

Pierwsi uciekinierzy z majdankowskich transportów byli też pierwszymi świadkami, którzy stanęli przed komisją badania zbrodni hitlerowskich na Majdanku.

•

Dyrektor Muzeum, Edward Dziadosz, pokazuje mi niewielką, trochę już pożółkłą broszurkę, drukowaną na grubym, szorstkim, „wojennym" papierze. Nosi ona tytuł: „Komunikat polsko-radzieckiej komisji nadzwyczajnej do zbadania zbrodni niemieckich dokonanych w obozie unicestwienia na Majdanku w Lublinie". Broszura wyszła w Moskwie, we wrześniu 1944 r. (!) nakładem Wydawnictwa literatury w językach obcych. Na pierwszej stronie widnieje pieczątka: „Dochód ze sprzedaży przeznaczony na budowę Państwowego Muzeum na Majdanku".

„Komunikat..." — jeden już chyba z bardzo nielicznych zachowanych egzemplarzy jest jednym z

TRANZYTOWY WOJEWÓDZKI

Maciej Podgórski

PRZEZ Radzyń turysta jedzie i rzadko który zatrzymuje się, chyba że poza miastem, dla zatankowania benzyny na skrzyżowaniu dróg Lublin — Siedlce. Więc Radzyń takie jakby tranzytowe miasteczko. A szkoda, bo są tu co najmniej dwa obiekty godne obejrzenia.

Jeden z piękniejszych w Polsce późnobarokowych zespołów pałacowych, zbudowany w latach 1750—1766 na zrębach wcześniejszego zamku obronnego. „Nowy Dykcyonarz Jeografii" z 1813 roku odnotowuje: *Przed pół wiekiem około dziedzic tego miejsca, Eustachy Potocki, generał artylerii koronnej, zbudował ten pałac takiej obszerności i w takim stylu, że wielu panujących niemieckich nic podobnego nie mają. Przy nim leży ogród w dawnym smaku francuskim z przyległą przechadzką angielską.*

Oczywiście, jenerał Potocki był tylko, jak byśmy dziś powiedzieli, inwestorem. Dzieło zaś projektował sławetny Jakub Fontana. Włoch z pochodzenia, architekt króla polskiego; wykonywali najprzedniejsi artyści i rzemieślnicy ówcześni: Redler, Dolinger, Lappen, Piersch.

W pobliżu pałacu jest kościół z pierwszej połowy XVII wieku, zaprojektowany przez Jana Wolffa w tak zwanym stylu lubelskim, czyli wczesnym baroku polskim.

Co do pałacu jeszcze, to zasadniczo można go podziwiać jedynie z zewnątrz (a potem pójść na obiad do eleganckiej restauracji pod wezwaniem „Herbowa"), albowiem obiekt użytkuje kilkanaście najrozmaitszych instytucji, które nie zawsze potrafią z sobą dojść do ładu.

Obszerny ten pałac, spalony podczas ostatniej wojny przez uciekające wojska niemieckie, był potem remontowany dwadzieścia lat blisko, tak że w tej chwili zachodnie skrzydło woła o nowy remoncik i praktycznie nigdy nie miał jednego administratora. Gospodarzy tutaj między innymi Sąd Wojewódzki (bialskopodlaski) z siedzibą w Radzyniu, Oddział Wojewódzki ZUS z siedzibą w Radzyniu, WUS z siedzibą w Radzyniu, Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w siedzibą w Radzyniu...

Z tej to okazji radzyniacy, obywatele byłego miasta powiatowego, nazywają Radzyń wicewojewództwem, co jednak nie rozwiązuje sprawy pałacu, którego na siłę powołany administrator, radzyński oddział Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej, robi, co może, łącznie z odwoływaniem się do wojewody, aby ciężar ów zrzucić z siebie. Wynaleziono nawet jakiś przepis, że tego rodzaju przedsiębiorstwo nie może opiekować się obiektami zabytkowymi, przepis, jako żywo, nieznany władzom konserwatorskim w Lublinie.

Tak więc WPGK nie chce administrować, ale musi (a trudno się temu dziwić, iż nie za bardzo chce), tymczasem zachodnie skrzydło pałacu przecieka i niszczeje. Jest nawet dokumentacja na remont tego skrzydła; ale nie ma wykonawcy, gdyż lubelskie PKZ odmówiły przyjęcia roboty.

Wewnątrz pałacu każdy sobie własny licznik prądu czy wody zainstalował i każdy drobne bieżące remonty na własną rękę przeprowadza, lecz jeśliby przyszło remontować dach kryjący kilka instytucji, o zgodę trudniej, kto za ile metrów dachu odpowiada.

Oczywiście, najlepiej by było, gdyby pałac w Radzyniu Podlaskim miał jednego użytkownika, pion kultury na przykład, czyli ogólnowojewódzkie centrum kulturalne (skoro i tak miasto ma charakter wicewojewódzki!), ale na razie brak temu chyba szansy powodzenia, zresztą podobno wojewódzka Biała Podlaska przymierza się do takiego centrum w obiektach pałacu radziwiłłowskiego, po wyprowadzeniu stąd administracji do budowanego gmachu.

Takie to są skomplikowane układy, a ja wiem tylko tyle, iż piękny zabytek sztuki późnobarokowej, remontowany w XX wieku dłużej niż budowany w XVIII, zaczyna niszczeć i sensu w tym wszystkim nie widać. Olimpiada za pasem, ruch tranzytowy przez województwo bialskopodlaskie

Kamena str. 4

Kinga Olewicz

AD MAIOREM MALA VITANDA

Dla tych,
których w dzieciństwie uczą nienawiści,
nie wyjawiając przyczyny,
dla tych,
co poznają zbrodnie
jeszcze bezcelowe,
zabijają potem na rozkaz,
i nie mają wyrzutów sumienia,
hodują rasowe psy i dzieci,
poprawiają kulturę rolną,
i podziwiają arcydzieła,
ustanawiają religie
stare jak świat
(niepisane prawo pięści
dla maluczkich)

a maluczcy
urastają do rangi bohaterów,
i przyswajają sobie
lwią część świata,

a w czasie pokoju
uchodzą nawet za porządnych ludzi,
dla nich każda doktryna,
jest argumentem na istnienie
własnego szczęścia.

8 tysięcy tomów specjalistycznej biblioteki Muzeum, które w listopadzie tego roku będzie obchodziło 35-lecie swojego istnienia. Właśnie w listopadzie 1944 r. powołane specjalnym dekretem PKWN Muzeum Państwowe „Majdanek" rozpoczęło swoją działalność.

„Komunikat..." był pierwszym wydawnictwem dotyczącym Majdanka i pierwszym oficjalnym dokumentem opartym na badaniach specjalnej komisji, jaki ukazał się na temat hitlerowskich obozów zagłady. Tak jak pierwszym dokumentem filmowym był zakończony dwa miesiące później „Majdanek — cmentarzysko Europy".

Polsko-radziecka komisja nadzwyczajna do zbadania zbrodni Majdanka działała pod przewodnictwem Andrzeja Witosa, ówczesnego wiceprzewodniczącego PKWN. W skład komisji wchodził również przedstawiciel PKWN S. Sommerstein, ksiądz dr J. Kruszyński, adwokat L. Chrystians, profesorowie KUL — Białkowski i Popławski oraz prokurator lubelskiego Sądu Okręgowego — Szczepański. Stronę radziecką reprezentowali D. Kurdjawcew (wiceprzewodniczący komisji), profesor W. Prozorowski i prof. W. Graszczenkow.

W 20-stronicowej broszurze zawierającej treść „Komunikatu..." znajdujemy informacje na temat założeń obozu na Majdanku, liczby i składu więźniarskiej społeczności, o torturach, metodach zadawania śmierci, grabieży dobytku więźniów i wreszcie — o próbach zatarcia przez uciekających Niemców śladów ich działalności na Majdanku. Treść „Komunikatu..." opatrzona jest licznymi zeznaniami świadków. Znajduje się wśród nich także zeznanie Stanisława Zelenta, zbiegłego nocą z 22 na 23 lipca 1944 r. z kolumny więźniów, pędzonych do Oświęcimia.

Na temat Majdanka ukazało się kilkadziesiąt publikacji książkowych, wśród nich wiele pozycji wspomnieniowych. Od szeregu lat ukazuje się rocznik „Zeszyty Majdanka". Wydawnictwo ciągłe, poświęcone problematyce zbrodni hitlerowskich na Lubelszczyźnie ze szczególnym uwzględnieniem obozu koncentracyjnego na Majdanku". Ze wspomnień owych najciekawsza — przede wszystkim z uwagi na faktograficzny materiał w niej zawarty — jest chyba książka Jerzego Kwiatkowskiego „485 dni na Majdanku", wydana przez Wydawnictwo Lubelskie w 1966 r. Ma ona dodatkowy walor jako dokument epoki: autor zaczął ją pisać już w 1945 r. w Niemczech, po uwolnieniu z obozu w Sachsenhausen, gdzie dostał się po pobycie na Majdanku, a następnie w Oświęcimiu. Zakończył Kwiatkowski swoje pisanie w Boże Narodzenie 1945 r. w miejscowości Haren an der Ems położonej na niemiecko-holenderskiej granicy i wówczas przemianowanej na Maczków przez żołnierzy znanej polskiej pancernej dywizji.

Przez wiele lat zwracał się później — mieszkając już na stałe w Stanach Zjednoczonych — do szeregu zachodnich wydawnictw z propozycją wydania jego pamiętnika-dokumentu, ale chętnych nie znalazł. Dopiero Wydawnictwo Lubelskie wydrukowało „485 dni na Majdanku".

W recenzji o filmie „Majdanek — cmentarzysko Europy", która ukazała się w Rzeczypospolitej" z 28 listopada 1944 r. tuż obok sprawozdania z pierwszego dnia procesu katów Majdanka, autor podpisujący się inicjałami J. P. stwierdzał m. in.: *Mimo tych łatwych do poprawienia usterek film już w obecnej formie jest silnym orężem propagandowym — zwłaszcza na kraje anglosaskie, które Niemców nie widziały z bliska. Witamy ten pierwszy film dokumentalny w wyzwolonej Polsce i życzymy jego autorom dalszych, szybszych i jeszcze lepszych sukcesów twórczych.*

W połowie lat siedemdziesiątych na Majdanku powstawał kolejny film — świadectwo o tym obozie śmierci: „Zagrożenie" Wacława Florkowskiego według scenariusza Danuty Brzosko-Mędryk byłej więźniarki obozu, świadka w procesie o ekstradycję ze Stanów Zjednoczonych majdankowskiej zbrodniarki — Hermine Braunsteiner. „Zagrożenie" nawiązuje w sposób twórczy do tamtego procesu.

„Los nasz dla was przestrogą" — głoszą na kopule majdankowskiego Mauzoleum słowa tych, którzy zginęli. Ci, którzy przeżyli, wciąż pamiętają.

Mirosław Derecki

Kupić? Kupić Muzeum w Nałęczowie

Tadeusz Dzierżykray-Rogalski

AMBICJE Nałęczowa. Nie zrodziły się one nagle, mają tradycje sięgające początków XIX stulecia. Przedłuża się je w dzień dzisiejszy. Rokrocznie odbywają się tam „Dni Nałęczowa", urządza się „Nałęczowskie divertimenta". Działa Klub Plastyków Amatorów.

W Nałęczowie mieszka i działa dwóch artystów malarzy, których twórczość związana jest silnie z tym miejscem: Jarosław Olejnicki, obecny prezes Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa, pejzażysta i wnikliwy obserwator współczesnej wsi lubelskiej oraz Janina Zielińska, malarka o wyjątkowej wrażliwości plastycznej. Te dwa nazwiska, obecnie trwale związane z Nałęczowem, znane są z licznych nie tylko krajowych wystaw. W Nałęczowie przeważnie w prywatnych rękach znajduje się wiele dzieł sztuki, którym może grozić zagłada, tak jak zginęły zupełnie, wyjątkowo piękne wyroby drewnianej rzeźby użytkowej z warsztatu, a później szkoły Jana Żyliskiego.

Wydaje się, że Nałęczów ma warunki do stworzenia już teraz własnej galerii sztuki. Zresztą istniejące tam kilkadziesiąt lat Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych zorganizowało tzw. „Małą Galerię Sztuki" złożoną z prac uczniów, a w tym roku zaprezentowało wystawę, na której pokazano wiele ciekawych prac. Okazuje się, że i to Liceum mogłoby stale zasilać przyszłą nałęczowską galerię sztuki. Powinna ona posiadać część historyczną, niejako dokumentalną, no i właśnie współczesną, gdzie znalazłyby miejsce prace twórców związanych z tematyką nałęczowską.

Drugie zagadnienie to sprawa powołania do życia Muzeum Nałęczowskiego. Podobno w 1973 r. w ramach planu rozwoju kulturalnego Lubelszczyzny zamierzano już utworzyć Muzeum Historii Nałęczowa. Przypomnieć warto, że przed pierwszą wojną światową istniało Nałęczowskie Muzeum Ziemi Lubelskiej im. Mikołaja Kopernika założone przez znanego na tym terenie działacza społecznego, dra Wacława Lasockiego [1]). W „Demokratycznym Abecadle Nałęczowskim" z 1913 r. znajdującym się w zbiorach Muzeum Prusa w Nałęczowie można znaleźć ucieszne rysunki i wiersze dotyczące tego Muzeum, gromadzącego — jak to było w ówczesnym zwyczaju — wszystko (był też nawet wypchany struś). Można jeszcze przypomnieć, że Izabela Czartoryska w puławskiej Świątyni Sybilli zebrała setki najdziwniejszych, jak na nasz dzisiejszy gust, eksponatów. To z jej zachęty w 1791 r. Tadeusz Czacki dokonał w Zwoleniu odłączenia czaszki Jana Kochanowskiego od reszty spoczywającego tam szkieletu, aby tą pamiątką narodową wzbogacić zbiory puławskie.

Zbiory Lasockiego zostały częściowo przekazane Muzeum Narodowemu w Krakowie, a ich większość w 1919 r. włączono do obecnego Muzeum Okręgowego w Lublinie. Cząstka tego depozytu przetrwała ostatnią wojnę i ponoć zalega w magazynach Muzeum Lubelskiego. Z pewnością bez trudu (i żalu) możnaby je przenieść z Lublina do nowego Muzeum Nałęczowskiego.

W Nałęczowie działają obecnie trzy „oficjalne" muzea. Dwa z nich trzeba nazwać biograficznymi, gdyż związane są z postaciami Prusa i Żeromskiego. Gromadzą one w miarę swych możliwości pamiątki po wielkich pisarzach, nie rezygnując też z eksponatów związanych z ich „ekologią" w najszerszym tego słowa znaczeniu. Trzecie — to Muzeum Ruchu Spółdzielczego, które specjalizuje się w tematyce ogólnopolskiej.

Czwarte Muzeum jest najzupełniej „nieoficjalne". Jest to duża prywatna kolekcja starożytności Eweliny Bartosiewiczowej, wdowy po lekarzu. Również rodzina zmarłego tu pisarza Waldemara Babinicza zebrała w jego domu szereg pamiątek związanych z życiem i twórczością pisarza.

Nowe Muzeum Nałęczowskie nie ograniczając w niczym działalności istniejących już tu instytucji mogłoby stanowić jakiś element bardziej ogólny, dotyczący całokształtu spraw związanych z przeszłością i tradycją Nałęczowa. Nie ulega wątpliwości, że wiele cennych eksponatów znajdujących się obecnie w rękach prywatnych (nie tylko w Nałęczowie), znalazłoby się w Muzeum choćby na zasadzie depozytów.

Jest też i miejsce, w którym możnaby zlokalizować wspomniane Muzeum, (a może i galerię sztuki?). To Dom Ludowy w Nałęczowie stanowiący zabytkowy budynek wzniesiony przed I wojną światową przez architekta Chrzanowskiego przy wjeździe do miasta od strony Bochotnicy Kościelnej. Właśnie tu znajdowało się Muzeum Wacława Lasockiego. Dom posiada lokatorów i użytkowników, ale tak się szczęśliwie składa, że wszyscy oni mają w najbliższym czasie opuścić ten budynek w związku z uzyskaniem własnych siedzib. To też ważny argument na rzecz tego projektu. „Kupił nie kupił", ale należy go rozważyć, skonfrontować, z obecnymi możliwościami województwa i miasta. Odkładać sprawę na nieokreśloną przyszłość szkoda, gdyż tradycja choć istnieje i chyba będzie trwać w Nałęczowie nadal, to jednak eksponaty niszczeją i ulegają stałemu rozpraszaniu.

[1]) W 1906 r. ówczesny dyrektor Zakładu Lecznictwa dr A. Puławski wraz z dr. B. Malewskim wysunięli inicjatywę stworzenia przy Zakładzie Muzeum, a nawet w tym celu zaczęli gromadzić okazy etnograficzne i fizjograficzne. Por. także: T. Chabros: Muzeum i tradycje Nałęczowa, Lublin 1973.

zapowiada się wzmożony i jeśli jakiemuś turyście wpadnie do głowy, żeby obejrzeć piękności radzyńskiego zespołu pałacowo-ogrodowego, to będzie mały wstyd, a może nawet duży, w związku z zachodnim skrzydłem. Pozostał jeszcze rok dla rozwiązania sprawy.

Radzyń przekracza nieco standard podlaski tego rodzaju miasteczek i w tym przypadku „nieco" to nie jest, wbrew pozorom, wcale tak mało. Inwentarz żywy nie wałęsa się po ulicach miasta, nowoczesną oczyszczalnię ścieków i kolektor sanitarny miasto posiada...

Stanisław Jarmuł, dyrektor Zbiorczej Szkoły Gminnej w Radzyniu, znawca i miłośnik tego regionu, twierdzi, że powiat radzyński miał szczęście do władz w dziesięcioleciu przed reorganizacją administracji, likwidującą powiaty. Zawsze się coś budowało, nie było problemu z wyposażeniem szkół, zabezpieczeniem koncertów Filharmonii lubelskiej, przyjazdu znanych artystów, sesji popularno-naukowych. Władze chciały zostawić swój ślad na ziemi, zawsze gdzieś coś urwały dla miasta i okolicy.

Miejscowe Towarzystwo Regionalne, któremu dr Jarmuł prezesuje od 1975 roku (a poprzednio prezesował Eugeniusz Korolczuk, obecny kurator w Lublinie, były naczelnik powiatu), liczyło w momencie likwidacji powiatu ponad dwustu członków, obecnie zaś niespełna sześćdziesięciu.

Czy to wszystko znaczy, że dziś społeczność radzyńska przysnęła z władzami miasta na czele? Nie tak, ale sytuacja się zmieniła, i na pierwszym planie stanęły potrzeby nowego miasta wojewódzkiego — Białej Podlaskiej. I choć radzyniakom trudniej, trzeba to zrozumieć.

Gdyby jeszcze przy okazji nie popełniono pewnych błędów... O jednym takim — pouczającym — muszę wspomnieć. Istniało w Radzyniu powiatowe przedsiębiorstwo budowlane, które w ciągu niespełna dziesięciu lat wybudowało dwa osiedla mieszkaniowe. Przedsiębiorstwo zlikwidowano, sprzęt i ludzi zabierając do wojewódzkiej firmy w Białej Podlaskiej. Tyle że nie wszystkich ludzi, bo spora część pracowników zrezygnowała z posady w Białej ze względu na uciążliwe dojazdy i poupychała się w okolicy (podobnie zresztą jak i część kadry garnituru powiatowego).

Przedsiębiorstwo bialskie nie tak wiele zyskało, a Radzyń dużo stracił. Obecnie buduje się jeden niewielki blok mieszkaniowy rocznie, bo nie ma siły na więcej, zaś z inwestycji nowowojewódzkich da się wymienić jedynie restaurację „Herbową", zlokalizowaną obok urzędu miasta. Reszta to — jak powiadają radzyniacy — sprawy „zaciągnięte jeszcze za Polski powiatowej": kończony teraz szpital, dla którego pokopano w roku 1974 fundamenty i przygotowano teren, żeby nie było odwrotu; poczta oddana w 1976 roku; oczyszczalnia ścieków; budynki szkolne, których Radzyń nie musi się wstydzić; wielka mleczarnia i zakład eksportowy Hortexu...

— Ogólnie to się, proszę pana, idzie jeszcze na rozruchu powiatowym, dynamika tamta pozostała — powiedział mi pewien obywatel z Radzynia. — Tylko co będzie, jak to się skończy? — dodał.

Może być różnie. I tak jak z budynkiem po byłym przedsiębiorstwie budowlanym, który stoi pustawy, a w każdym razie racjonalnie nie wykorzystany. Ale może być też inaczej. Dowiedziałem się, że Radzyń, czwarty rok z rzędu, zdobywa tytuł „Mistrza Gospodarności" — za czystość, zieleń, drogi, chodniki, handel, usługi, remonty, gastronomię, czyny, działalność samorządową mieszkańców.

Bałbym się twierdzić, że jest to tytuł przyznawany jedynie na łez otarcie.

Zwycięzca spod Wiednia

Adam Andrzej Witusik

350 ROCZNICA URODZIN JANA III SOBIESKIEGO

Jan III Sobieski

JAN III SOBIESKI — w przeciwieństwie do Henryka Walezego, Stefana Batorego, trzech Wazów i dwóch Sasów — był królem elekcyjnym pochodzącym z nacji polskiej, jak się to wówczas mówiło — „krew z krwi i kość z kości naszych". Urodził się 17 sierpnia 1629 r. na zamku w Olesku leżącym na północny-wschód od Lwowa. Ojcem jego był wybitny dyplomata i mąż stanu Jakub Sobieski, najpierw wojewoda bełski, potem wojewoda ruski, wreszcie kasztelan krakowski, matką zaś Zofia Teofila z Daniłowiczów, wnuczka tragicznie zmarłego w wyprawie cecorskiej hetmana Żółkiewskiego.

Jan Sobieski otrzymał wraz ze swym o rok starszym bratem, Markiem, wyjątkowo staranne wychowanie. Obaj chłopcy ukończyli Gimnazjum Nowodworskiego w Krakowie, a potem przez dwa lata studiowali na Wydziale Filozoficznym Akademii Krakowskiej. Po takim przygotowaniu wysłał ich ojciec za granicę. Pod opieką doświadczonego opiekuna i wychowawcy Pawła Orchowskiego mieszkali rok w Paryżu, a później objechali całą Francję i przez Kanał przeprawili się do Anglii. Niewątpliwym pożytkiem peregrynacji było to, że obaj chłopcy nauczyli się nieźle języka francuskiego i zapoznali się z urządzeniami politycznymi i wojskowymi niektórych państw Europy zachodniej.

Gdy w 1648 r. wrócili do kraju, ojciec ich już nie żył. Matkę zastali w Zamościu, dokąd schroniła się, uciekając przed rozlewającym się powstaniem Chmielnickiego. Od razu więc po powrocie zetknęli się z żywiołem wojny, który odtąd miał ich obu zagarnąć. Starszego, Marka, czekała krótka żołnierska służba: w trzy i pół roku później zginął od tatarskiego noża w rzezi polskich jeńców pod Batohem. Kariera wojskowa dziewiętnastoletniego Jana była dłuższa i świetniejsza, znaczył ją długi ciąg bitew i wypraw. Chrzest bojowy przeszedł Sobieski w bitwie z Kozakami i Tatarami pod Zborowem w 1649 r. Następnie walczył z nimi pod Beresteczkiem, gdzie został ranny w głowę i o mało nie poniósł śmierci, a także pod Żwańcem. Potem wojował z wojskami kozacko-moskiewskimi pod Ochmatowem. Podczas najazdu szwedzkiego znalazł się wprawdzie w gronie tych, co przeszli na stronę zwycięskiego Karola X Gustawa, ale po pięciu miesiącach powrócił w służbę prawowitego monarchy Jana Kazimierza, który wynagrodził go za to wysokim urzędem wojskowym — chorążostwem koronnym. Atakował później Sobieski szańce Torunia, w którym znajdowała się załoga szwedzka, zdobywał Warszawę, walczył z Jerzym II Rakoczym, sojusznikiem Karola X Gustawa, a z wyprawy do Siedmiogrodu powrócił ranny w nogę. W 1660 r. zbierał nowe laury wojenne w walkach z Moskwą i Kozakami, odznaczając się w bitwach pod Lubarem i pod Słobodyszczem. Młodość Sobieskiego była zatem młodością żołnierską. Walczył z różnymi przeciwnikami — z wojskiem kozackim, tatarskim, moskiewskim, szwedzkim, siedmiogrodzkim. Rzemiosło wojenne wykonywał ze wszystkimi jego konsekwencjami — przeciwnicy zabijali, zabijał i on, w walce nie oszczędzając przy tym siebie.

Ostatnie lata panowania Jana Kazimierza i okres rządów Michała Tomasza Korybuta Wiśniowieckiego były dla Jana Sobieskiego epoką wyjątkową. Z żołnierza, popychanego bieżącymi sprawami, przedzierzgnął się w wodza i polityka, wybiegającego myślami daleko naprzód. Wpierw przez romans, później przez małżeństwo z ulubienicą królowej Ludwiki Marii — Marią Kazimierą d'Arquien, od 1665 r. wdową po wojewodzie sandomierskim Janie II Zamoyskim, Sobieski związał się ściśle z dworem królewskim. A dwór ten pod przewodem żony Jana Kazimierza, królowej Ludwiki Marii, zmierzał do wzmocnienia władzy monarszej w Polsce, przeprowadzenia pożytecznych reform i dokonania za życia króla elekcji kandydata francuskiego na tron Rzeczypospolitej. Dzięki zdolnościom wojskowym i wpływom w armii, a przede wszystkim za poparcie planów króla, królowej i ich stronnictwa, otrzymał Sobieski w 1665 r. odebrane Jerzemu Lubomirskiemu marszałkostwo wielkie koronne. W rok później król Jan Kazimierz obdarzył go ponadto buławą polną. Zdobył więc Sobieski dwa niezwykle ważne urzędy w Polsce — marszałkostwo i hetmaństwo, stanął w rzędzie tych, którzy rządzili Rzeczpospolitą. W 1667 r. Sobieski z małą garstką żołnierzy oparł się zwycięsko w obozie pod Podhajcami najazdowi Tatarów i Kozakom, którzy poddali się Turcji. Wiktoria podhajecka zadecydowała, że król Jan Kazimierz nadał mu w lutym 1668 r. buławę wielką koronną. Nowo kreowany hetman wielki stał się odtąd czołową osobistością polityczną w Rzeczypospolitej.

Po abdykacji Jana Kazimierza Sobieski był wierny stronnictwu francuskiemu i dążył do wyboru na tron polski księcia Condé. Za Michała Tomasza Korybuta Wiśniowieckiego przeszedł do opozycji i wraz z prymasem Mikołajem Prażmowskim i innymi politykami, tzw. malkontentami, myślał poważnie o detronizacji króla, a wyniesieniu na tron polski francuskiego kandydata. Gdy szlachta zebrana w pospolitym ruszeniu pod Gołębiem i Lublinem zawiązała konfederację w obronie prawowitego monarchy, Sobieski zorganizował konfederację wojskową w Szczebrzeszynie i gotów był przeciwstawić się zbrojnie stronnikom królewskim. Równocześnie ten nielojalny w stosunku do króla polityk nie zaniedbywał jednak swych obowiązków hetmańskich. W 1671 r. z nielicznym wojskiem pobił Tatarów pod Bracławiem, Mohylewem i Kalnikiem, odzyskując znaczną część Podola i Ukrainy. W rok później, w październiku 1672 r., rozgromił czambuły tatarskie na linii od Krasnobrodu przez Narol, Niemirów, Komarno do Kałusza, wyzwalając tysiące jeńców. Zaś w listopadzie 1673 r. rozbił w puch wielką armię turecką Husseina paszy pod Chocimiem.

Maria Kazimiera d'Arquien de la Grange, żona Jana III Sobieskiego

W przeddzień zwycięstwa chocimskiego, 10 listopada 1673 r., zmarł król Michał Korybut Wiśniowiecki. Wiktoria chocimska w znacznej mierze otwarła Sobieskiemu drogę do korony. Na polu elekcyjnym nie miał on poważniejszych konkurentów: kandydata Habsburgów Karola Lotaryńczyka zwyciężyło stronnictwo francuskie i osobiste walory „Piasta"-Sobieskiego. Dnia 19 maja 1674 r. czterdziestoczteroletni zwycięzca spod Chocimia został obrany królem Polski.

Pierwsze lata panowania upłynęły Sobieskiemu na ciężkiej wojnie z Turkami, z powodu której odłożył nawet o blisko dwa lata uroczystą koronację swoją i żony Marii Kazimiery. Równocześnie próbował realizować dalekosiężne, wielkie plany polityczne. Mimo głębokich tradycji antymuzułmańskich zakorzenionych zarówno w jego rodzie, jak i u szlachty polskiej, nazajutrz niemal po obiorze na tron usiłował Sobieski dokonać radykalnego zwrotu w polityce zagranicznej. Pragnął zakończyć przy pośrednictwie Francji wojnę z Portą Otomańską, a następnie w oparciu o sojusz z Francją i Szwecją wszcząć akcję zbrojną przeciw elektorowi brandenburskiemu Fryderykowi Wilhelmowi w celu rekuperowania Prus Książęcych, by tym mocniej usadowić się nad Bałtykiem. Związanie się Sobieskiego z Francją i jej sojuszniczką Szwecją stwarzało też możliwości — acz nikłe — odzyskania Śląska, znajdującego się pod panowaniem Habsburgów, wrogów Francji. Zamierzenia na arenie międzynarodowej wiązał Sobieski z planami reform wewnętrznych państwa. Chciał wzmocnić władzę królewską przez wprowadzenie dziedziczności tronu, pragnął też znieść zgubne liberum veto i ustrócić gadulstwo sejmów. Działalność dyplomacji francuskiej w celu zawarcia przez Rzeczpospolitą pokoju z Portą była jednak nieskuteczna — w 1676 r. runęła na Polskę nowa nawała turecka, którą Sobieski zatrzymał w obozie pod Żurawnem. Królewskie plany co do Prus Książęcych i Śląska oraz reform wewnętrznych państwa udaremniła bezwzględnie i uporczywie działająca zachęcana do czynu przez obce dwory wrogie Sobieskiemu opozycja magnacka wyżej stawiająca odzyskanie Podola i wojnę z Turcją niż dalekowzroczną politykę samego monarchy. Również Francja przestała popierać swojego alianta nad Wisłą z chwilą, gdy w latach 1678—1679 udało się jej przeprowadzić pacyfikację Europy zachodniej, w wyniku czego dotychczasowy wróg Francji elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm stał się jej sojusznikiem. W tej sytuacji Sobieski zdecydował się zerwać z polityką profrancuską i nawiązać współpracę z dworem habsburskim.

Dnia 1 kwietnia 1683 r. stanęło zatem zaczepno-odporne przymierze polsko-austriackie przeciw Turcji, a gdy niebawem zjawił się pod murami Wiednia z olbrzymią armią wielki wezyr Kara Mustafa pasza, Sobieski ruszył na ratunek broniącej się ostatkiem sił stolicy cesarskiej. Objąwszy naczelne dowództwo nad zgromadzonymi wojskami polskimi, cesarskimi i książąt Rzeszy, 12 września 1683 r. odniósł Sobieski wspaniałe zwycięstwo, zadając poważny cios potędze tureckiej i powstrzymując na zawsze jej zwycięski dotychczasowy napór. „Porażka i przegrana — od której niech nas Allach zachowa! — była przeogromna, klęska taka, jaka od powstania państwa otomańskiego jeszcze się nie wydarzyła" — stwierdził wyraźnie na kartach swej kroniki ówczesny dziejopis turecki Silahdar Mehmed aga z Fyndykły. Wiktoria wiedeńska, sławiona w całej Europie, okryła wiekopomną chwałą Sobieskiego i Polskę. Jak byśmy dziś nie oceniali decyzji Sobieskiego pójścia na odsiecz Wiedniowi (ostatecznie ocalono istnienie państwa, które później stało się jednym z zaborców Polski), w ówczesnej sytuacji należy ją uznać za słuszną. Klęska Austrii oznaczała rozciągnięcie panowania tureckiego wzdłuż całej już południowej granicy Rzeczypospolitej i zagrożenie nie tylko jej południowo-wschodnich obszarów, lecz również Krakowa. Wymarsz pod Wiedeń był też korzystny i z innych powodów: rozbicie potężnego przeciwnika możliwe było tylko przy skupieniu znacznych sił sojuszniczych, zaś walka na obcym terytorium chroniła kraj przed zniszczeniami wojennymi. W pół roku po Wiedniu, w marcu 1684 r., Sobieski wzmocnił związki z Austrią podpisując w Linzu pakt antytureckiej Ligi Świętej, do której prócz Polski i Austrii weszła Wenecja i papież. Podjęte teraz działania wojenne nie przyniosły Polsce szybkich i łatwych sukcesów: dopiero w 1699 r., a więc już po śmierci Sobieskiego, odzyskano Podole z Kamieńcem i część Ukrainy.

Ostatnie lata życia upłynęły Sobieskiemu na nieudanych próbach zapewnienia synom tronu w Polsce lub na Węgrzech, a przynajmniej w Mołdawii, wśród ciągłych walk z opozycją zawistnych magnatów, wreszcie bezprzykładnych sporów w rodzinie królewskiej, głównie z winy królowej Marii Kazimiery wyraźnie zabiegającej o własne sprawy na wypadek śmierci męża. Zmarł Sobieski w Wilanowie 17 czerwca 1696 r. po ataku apopleksji, licząc sobie 66 lat. Ciało króla sprowadzono do Warszawy, gdzie spoczywało w Kościele Kapucynów aż do 1734 r., kiedy to przewieziono je do Krakowa i złożono w podziemiach katedry wawelskiej.

Sobieski pozostawił po sobie czworo potomstwa: trzech synów — Jakuba, Aleksandra i Konstantego, z których żadnemu nie udało się zdobyć korony ojcowskiej, oraz córkę Teresę, która w 1695 r. wysłała za mąż za elektora bawarskiego Maksymiliana II.

Po śmierci Sobieskiego, wśród zamętu, który zapanował za Sasów w Rzeczypospolitej, a potem wśród klęsk rozbiorów i życia w niewoli, potomność przyzwyczaiła się widzieć w nim ostatniego obrońcę wielkości Polski, króla-wojownika, stojącego na straży jej sławy i honoru, bohatera, który nie tylko umiał gromić wrogów ojczyzny, ale ważył na szali losów Europy i wiekopomną chwałą okrył imię polskie. Zjawisko to było niewątpliwie jedną z przyczyn, które sprawiły, że Sobieski olbrzymiał z perspektywy czasu, że rosła legenda Sobieskiego, że pamiętano raczej o jego cnotach, zapominano zaś o przywarach.

Polski plan wojny

Leszek Siemion

W DYSKUSJACH na temat kampanii wrześniowej 1939 r. często powtarza się pytanie: dlaczego armia polska broniła się tak krótko, a stosunek strat własnych i nieprzyjaciela był zaskakująco niekorzystny dla strony polskiej? I żaden przykład Francji 1940 r. nie stanowi dla pytających istotnego argumentu.

Przyczyn nieoczekiwanie szybkiej klęski armii polskiej było wiele, ogólnie zaś można je podzielić na obiektywne i te, które wynikły z indolencji polskiego dowództwa, z błędnego planu wojny i wstępnego rozwinięcia sił. Są wprawdzie i rzecznicy poglądu, że polski plan wojny z Niemcami w ogóle nie istniał, gdyż nigdy nie został przepracowany na stołach sztabowców, jest to jednak pogląd błędny, gdyż plan ugrupowania wstępnego oraz zadania postawione związkom operacyjnym przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych były przecież wyrazem jakiegoś planu wojny, ustalonego przez ówczesnego głównodowodzącego, marsz. Śmigłego-Rydza. Nawet jeśli to była tylko intuicyjna koncepcja Generalnego Inspektora. Zobaczymy zresztą, jak plany te konkretyzowały się w miarę zmian polityczno-strategicznego położenia Polski.

W połowie marca 1939 r. upojony łatwymi sukcesami Hitler wznowił swoją polityczną ofensywę. Łamiąc kilka miesięcy temu przyjęte traktaty, wojska niemieckie wkroczyły do okrojonej Czechosłowacji i położyły kres jej istnieniu. 21 marca Niemcy wymogły na Litwie zgodę na przyłączenie do Rzeszy tzw. Małej Litwy z ważnym portem Kłajpedą. Tegoż dnia minister Ribbentrop wezwał polskiego ambasadora w Berlinie i oficjalnie zażądał zgody rządu polskiego na wcielenie do Niemiec Wolnego Miasta Gdańska oraz na zbudowanie eksterytorialnej autostrady biegnącej przez polskie Pomorze do Prus Wschodnich. 22 marca podpisany został traktat, na mocy którego Słowacja przyjęła niemiecki protektorat. Następnego dnia rząd III Rzeszy wymusił w Bukareszcie zawarcie układu uznającego całą gospodarkę Rumunii za domenę niemiecką. W ten sposób, przy jednoczesnym zagrożeniu polskiej suwerenności, zostały przedłużone szczęki niemieckich kleszczy, zaciskających się nad granicami państwa polskiego.

Wobec jawnego zagrożenia suwerenności państwa Komitet Obrony Rzeczypospolitej po raz pierwszy zdecydował się zamanifestować wolę jej obrony. W wyniku podjętych decyzji 23 marca Generalny Inspektor nakazał częściową mobilizację. Objęła ona jednostki wojskowe stacjonujące na obszarze IX Okręgu Korpusu (Brześć nad Bugiem) — 9, 20, 30 dywizje piechoty i Nowogródzką brygadę kawalerii, 26 dywizję piechoty na obszarze IV Okręgu Korpusu (Łódź) oraz oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza rozlokowane na wschodniej granicy kraju. Zmobilizowane jednostki zostały następnie przewiezione do obszarów operacyjnych: 20 dp (Baranowicze) i Nowogródzka bk — na północne Mazowsze, 9 dp (Siedlce) — na Pomorze, 30 dp (Kobryń) — w skład armii „Łódź", 26 dp (Skierniewice) — w skład armii „Poznań". Większość oddziałów KOP przewieziono na Podhale, a ponadto do Sieradza, Augustowa i na Hel. W ten sposób powstał pierwszy zarys polskiej pozycji obronnej i ugrupowania wstępnego.

Równocześnie z mobilizacją Generalny Inspektor zarządził odprawę generałów przewidzianych na dowódców związków operacyjnych. Odprawiał ich pojedynczo, podając każdemu z osobna zadania jego armii, lub samodzielnej grupy operacyjnej oraz siły przewidziane w składzie tych związków. Charakterystyczne, że żaden z odprawianych generałów nie zgłosił zastrzeżeń do stawianych mu zadań. Być może, że zastrzeżenia wystąpiłyby, gdyby dowódcy związków operacyjnych znali siły i zadania przynajmniej swych najbliższych sąsiadów. Śmigły-Rydz zatroszczył się jednak, żeby do tego nie doszło. Tak więc Generalny Inspektor z punktu pozbawił dowódców wyższego szczebla możliwości szerszego myślenia operacyjnego.

Na temat przyczyn takiego postępowania Śmigłego-Rydza napisano już nie jedno słuszne zdanie. Chyba jednak trzeba te opinie uzupełnić twierdzeniem, że Generalny Inspektor wyczuwając słabości własnej koncepcji strategicznej, wolał jej nie przedstawiać podległym generałom.

Problem polskiego planu wojny również posiada już sporą bibliografię. Przypomnę niektóre z tych poglądów: gen. Rómmel sądził, że właściwym rozwiązaniem było cofnięcie frontu obrony na linię Narew — Wisła — San; płk Porwit uważał za celowe wcześniejsze zajęcie wschodniej Słowacji; rzeczową, ale sztywną koncepcję obrony na linii Śląsk — rzeka Warta przedstawił J. Godlewski; ostatnio płk Maliszewski sformułował koncepcję „urzutowania w głąb". Są to koncepcje nie pozbawione racji, ale i nader wątpliwe.

Obrona na linii wielkich rzek dawała największe korzyści, a mianowicie: najkrótszy i najdogodniejszy front; możliwość najbardziej ekonomicznego rozwinięcia; maksymalne skupienie nielicznego lotnictwa i środków obrony przeciwlotniczej; a co najważniejsze — zwłokę w rozpoczęciu walnej bitwy co najmniej o tydzień — czas bezcenny na wywarcie nacisku na sojuszników. Jednakże główny spec od wojskowych przewozów kolejowych, mjr Nowosilski, dawno już w prasie zachodniej orzekł, że przy ówczesnym układzie polskiej sieci kolejowej taka koncentracja była w ogóle niemożliwa. Wątpliwy jest także skutek oparcia bazy strategicznej o ówczesne ziemie wschodnie zamieszkałe przez mniejszości narodowe. Wreszcie — jak można wnosić na podstawie praktyk Hitlera — taka koncepcja polska bardzo by mu odpowiadała, gdyż gwarantowała mało kłopotliwe zajęcia Pomorza, Poznańskiego i Śląska, a kto wie, czy zachodni sojusznicy Polski kwapiliby się do obrony tego terytorium, jeśliby sama Polska je opuściła. Ponieważ zaś sanacyjny rząd wykluczał sojusz z ZSRR, okrojona Polska musiałaby przed Hitlerem skapitulować. Sądzę, że te właśnie względy odegrały zasadniczą rolę w kształtowaniu się planu wojny w umyśle Śmigłego-Rydza.

Pomysł zajęcia wschodniej Słowacji jest nie do przyjęcia. Poprawiłoby to wprawdzie położenie południowego skrzydła polskiego frontu, wciągając jednak znaczną część sił na obcy teren i narażając je na odcięcie, Polskę zaś stawiało w stan wojny z południowym sąsiadem.

Bez wątpienia na koncepcji Wodza Naczelnego fatalnie odbiła się zasadnicza zmiana sytuacyjna spowodowana likwidacją Czechosłowacji. Jeszcze w lutym, opierając się o wyniki kilkuletnich studiów inspektorów armii, Śmigły-Rydz przewidywał, że główne uderzenie niemieckie wyjdzie z Pomorza Zachodniego na Kujawy. Dlatego koncentrację swego odwodu głównego planował w obszarze Kutna. Tymczasem — jak to scharakteryzował szef Sztabu Głównego, gen. Stachiewicz — *zajęcie przez Niemców Czechosłowacji rozszerzyło klin śląski w kierunku południowym i pogłębiło jego zaplecze. W ten sposób południowe skrzydło frontu niemieckiego zyskiwało na położeniu flankowym w stosunku do Polski i na pojemności koncentracyjnej, stając się najdogodniejszym rejonem koncentracji dla sił głównych przeznaczonych do akcji przeciw Polsce.*

Przyjęta koncepcja strategiczna narzucała absolutny imperatyw montażu bitwy granicznej, a właściwie dwóch odrębnych bitew: walnej — nad Wartą i mniejszej — na północnym Mazowszu. Do bitwy nad Wartą należało natychmiast po rozpoczęciu działań wojennych skierować Armię „Poznań", a po bliższym rozpoznaniu ruchu nieprzyjaciela — armię odwodową. Możliwość prowadzenia tej bitwy powinna zapewnić stosunkowo silna Armia „Kraków". Przy takim montażu bitwy Armii „Toruń" przypadałoby przede wszystkim zadanie osłony tyłów Armii „Poznań" i ewentualnie zachodniego skrzydła Armii „Modlin". Tymczasem w koncepcji Generalnego Inspektora Armia „Poznań" miała osłaniać skrzydło ekscentrycznie rozwiniętej Armii „Toruń", zaś Armia „Łódź" została obarczona serwitutem działania zaczepnego na korzyść Armii „Poznań". Tak jakby od lutego nic się nie zmieniło i jakby nie przewidywano, że na Armię „Łódź" wyjdzie główne uderzenie niemieckie.

Absurdalny był plan obrony odcinka Śląsk — Częstochowa, który miał stanowić zawias ruchu całego frontu zachodniego. Cóż były warte umocnienia śląskie, skoro ich osłonę na 60-kilometrowym skrzydle północnym stanowiły tylko dwie wielkie jednostki — 7 dp i Krakowska bk. Nie mogła im przecież pomóc armia odwodowa odległa od Częstochowy co najmniej o trzy dni marszu!

Nie było więc sensu także w ewentualnym formowaniu ugrupowania odwodu głównego na obszarze Piotrków — Radom. Przy małej ruchliwości polskiej piechoty armia odwodowa nie była w stanie wziąć udziału w bitwie o zasadniczą pozycję obronną na styku Armii „Kraków" i Armii „Łódź". Wskutek tego wszystkie trzy armie były skazane na toczenie swych bitew jedynie własnymi siłami. Aby stało się odwrotnie, trzeba było inaczej ustalić skład armii odwodowej oraz rozwinąć ją nad Pilicą: od Sulejowa po Koniecpol.

Poza bensensowną sprawą interwencji gdańskiej podobnie rysuje się koncepcja obrony północnego Mazowsza. O ile — ze względu na bliskość centrum warszawskiego — obrona wysuniętej pozycji pod Mławą była całkowicie uzasadniona, o tyle zupełnie niezrozumiałe jest pominięcie w planie działań frontu północnego montażu bitwy obronnej wszystkimi możliwymi siłami: Armii „Modlin", Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew" i odwodowej Grupy Operacyjnej „Wyszków". Manewr zaczepny tej ostatniej był przewidziany, ale dopiero po opuszczeniu przez Armię „Modlin" pozycji mławskiej, czyli po jej pobiciu. Jakby dla ułatwienia przeciwnikowi zadania, plan działań przewidywał kolejne podstawianie związków operacyjnych pod jego uderzenia.

Dodatkowy absurd strategiczny tkwił w planie transportów. Studia sztabowe od lat wskazywały na absolutne zagrożenie jego realizacji przez działania lotnicze, które łatwo mogły sparaliżować rzadką sieć kolejową Polski. Zastanawiając się nad perspektywą strategiczną wojny z Niemcami gen. Kutrzeba wyciągnął wniosek: *Nie pozostaje nam nic innego, niż usiąść okrakiem na Wiśle.* Plan transportów dlatego powinien opierać się o zasadę przewozów możliwie najkrótszych i eliminacji przewozów zbędnych. Np. zbędne były przewozy 26 dp po przydzieleniu jej do Armii „Łódź"; częściowo zbędne było przewożenie 22 dp (Przemyśl) po przydzieleniu jej do Armii „Karpaty", czy też 2 dp (Kielce) po zaplanowaniu jej w skład armii odwodowej. Wdrożony w praktyce plan przewozów operacyjnych przedstawiał istną łamigłówkę, co musiało się odbić fatalnie na całości manewru kolejowego, a tym samym na realizacji planu koncentracji i rozwinięcia wojsk.

23 sierpnia zarządzono wdrożenie głównej fazy mobilizacji. Przy właściwym planie mobilizacji i koncentracji do przewiezienia w całości pozostawałoby w tej fazie nie dziesięć dywizji piechoty i trzy brygady kawalerii, ale sześć dywizji i dwie brygady. Dla takiej ilości wojska z pewnością niezabrakłoby składów kolejowych, co dało się odczuć wskutek niewłaściwego przydziału jednostek do związków operacyjnych. W rezultacie wiele oddziałów nie zdążyło na czas do rejonów koncentracji.

Wieczorem 28 sierpnia Sztab Główny otrzymał meldunek o marszu wojsk niemieckich na tereny słowackiej Orawy. Meldunek ten nie wywołał żadnej reakcji, chociaż nowe zagrożenie powinno spowodować skierowanie do rejonu Chabówki całej dywizji piechoty. Do takiego manewru była gotowa 22 dp, którą w Armii „Karpaty" należało zastąpić inną. Ponieważ to nie nastąpiło, Armia „Kraków" już po pozycji wyjściowej została głęboko oskrzydlona. Następstwem tego było rozbicie 6 dp, dla której zabrakło pomocy w boju pod Pszczyną oraz Grupy Operacyjnej „Boruta" wyprzedzonej nad Dunajcem przez niemiecką broń pancerną.

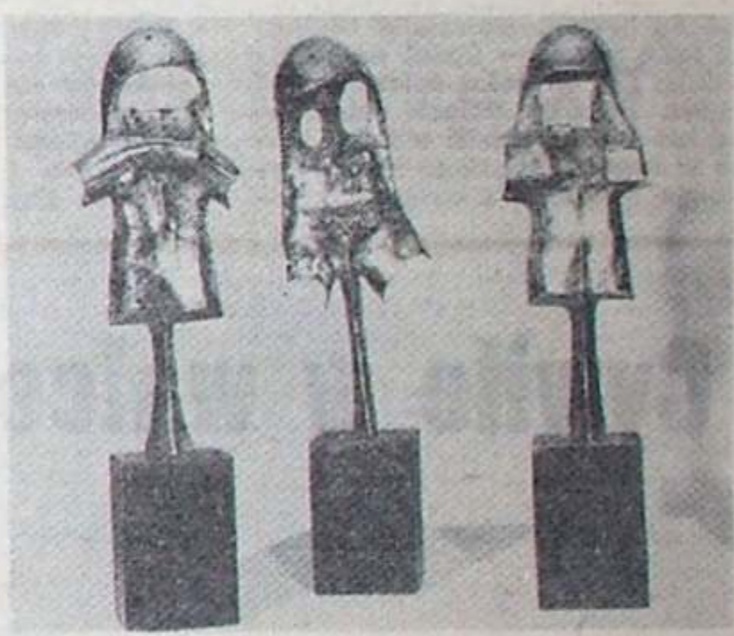

„Przeciw wojnie" — międzynarodowa wystawa plastyki. Elod Kocsis (Rumunia) „Neutrony"
Fot. A. Polakowski

Nocą z 30 na 31 sierpnia Generalny Inspektor zrezygnował z koncepcji gdańskiego korpusu interwencyjnego. Jego 13 dp miała być przewieziona w skład armii odwodowej, zaś 27 dp przekazano Armii „Toruń". Dziwnym trafem przeoczono, że ta ostatnia jest najbardziej eksponowana w głąb „korytarza" pomorskiego. Pozostawiając ją tam, należało niezwłocznie wydać jej rozkaz wycofania na zachód od Grudziądza. Takie jej przesunięcie umożliwiało pokusić się w dniu 2 września o pobicie niemieckiego XXI korpusu w boju nad Ossą. Ponieważ o tym nie pomyślano, doszło do znanej tragedii w Borach Tucholskich, gdzie 9 i 27 dp oraz Pomorska bk zostały roztrzaskane przez korpus pancerny gen. Guderiana.

Przy właściwym zaplanowaniu rozwinięcia wstępnego bitwa graniczna toczyłaby się dla strony polskiej w warunkach o wiele korzystniejszych. Niestety, przebieg działań potwierdził słuszność twierdzenia marszałka Focha, że „błąd ugrupowania wyjściowego jest przeważnie nie do odrobienia".

Kamena str. 7

Dwa dni w życiu

Bronisław Kowalski

—WIĘC, proszę pana, ja próbuję pisać. A w ogóle to mi nie dają żyć. Kto? Dyrektor Muzeum na Majdanku. Prowadziliśmy rozmowy i ja mówię: „Dyrektorze, ja naprawdę nie wiem, jak to pisać". A on na to: „O, tak, jak pan mi opowiadał, tak to pisać, nie inaczej tylko tak". Eeee, myślę ja sobie. Pan Mańkowski też mnie strasznie zachęcał, później ZBoWiD, Warszawa, pani Dubowa, ona jest tam kierowniczką. No i rodzina trochę, wszyscy razem. Ale pracując w WZSP nie miałem czasu. W dodatku poszedłem do tej przeklętej „Solidarności". A tam balagan, wszyscy się kłócili, żarli. A moją ambicją było, żeby tę spółdzielnię „Solidarność" wydźwignąć. No, ale na tej ambicji straciłem tylko. I powiedziałem sobie: „Nigdy już nigdzie nie chcę na żadnego dyrektora iść".

Na razie pan Kazimierz Błoński zapisał niewiele arkuszy — jakby szkic do większej pracy. Zanotował na gorąco kilka refleksji, uwag na temat najważniejszych wydarzeń w życiu. Dużo tam nazwisk — nauczycieli ze szkół w Puchaczowie, w Lublinie, ze studiów na KUL-u, ze szkoły podchorążych na Wołyniu, nazwisk znajomych sprzed wojny, z czasów walk i konspiracji, kolegów z organizacji społecznych. Mało w zapiskach o pracy w ostatnich latach przed emeryturą, bo na razie najważniejszy jest powrót do młodości. Są to szybko rejestrowane przypomnienia z lat dziecinnych, z młodości — żeby nie uciekły, żeby przypomniały się inne na ich tle — pomoc dla pamięci. Po kilku dziesiątkach lat okazało się, że najważniejsze były pewne dwa dni z połowy września 1939 roku. Dwa dni w życiu. To niby bardzo mało, ale dwa takie dni, wplecione w łańcuch historii, o, to już bardzo dużo. Powyższa stylistyka brzmi może patetycznie teraz, kiedy tamte zdarzenia są wspomnieniami, opowiadanymi przy stoliku.

Przypływają opowieści o jednym wygranym boju artyleryjskim z czołgami, o zabitych ułanach pod Bydgoszczą, którzy być może porwali się z szablami na inne czołgi; o frontowym szpitalu, do którego porucznik Błoński trafił z raną piersi — upadł na jaszcz z amunicją, gdy w walce ustrzelili pod nim konia. Po dwu dniach uciekł ze szpitala nie mogąc znieść widoku rozdartego w ranach ludzkiego mięsa, wymieszanego z ziemią z okopów, i dogonił swój odstępujący 27 Pułk Artylerii Lekkiej Armii Pomorze.

Przedzierając się przez pierścień okrążenia niemieckiego wokół Warszawy, 28-letni wówczas porucznik, dotarł do Lublina w nocy 14 września. Wyprzedziła go wieść, że poległ w boju nad zachodnią granicą. Przynieśli ją rodzinie ci, którzy widzieli go rannego w pierwszych dniach wojny, więc było tak, jakby się już dwa razy od śmierci wywinął.

Wraz z kuzynem dotaszczyli do miasta jedno działo. Następnego dnia, po zgłoszeniu się do sztabu obrony miasta, zdecydowali ustawić to działo przed polami, u wylotu ul. Skłodowskiej, tam, gdzie dziś stoi budynek wydziału fizyki UMCS. Owa „artyleria" miała ostrzeliwać szosę kraśnicką, gdyby pojawiły się oddziały wroga. W mieście prawie nie było wojska, nie przygotowano żadnej obrony i znaleźli się ludzie, widzący w tym obłąkańczo szansę na ocalenie. Wspomina pan Błoński, że niektórzy radni miejscy nie chcieli obrony Lublina. Ponoć błagano płk. Piotra Bartaka, który po odejściu regularnych wojsk podjął się organizacji cywilnej obrony miasta, by tego zaniechał. Przekonywali, że nie stawiającego oporu Lublina Niemcy nie zniszczą. Podobnie proszono też komendanta miasta kpt. Lisa-Błońskiego.

— Myśleli wówczas starsi z rajców miejskich, że Niemcy wejdą do Lublina, jak łagodne baranki — opowiada K. Błoński — i pogłaszczą mieszkańców za to, że siedzieli cicho. Po kilku posiedzeniach większość jednak zdecydowała o obronie. I wtedy wydane 16 września odezwę, którą podpisał mój stryj, kpt. Lis-Błoński: *Wzywam całą ludność miasta do kopania rowów. Wszyscy mają się stawić natychmiast z łopatami, szpadlami i kilofami w ogrodzie Saskim, gdzie nas. ol przydział prac. Lublin pójdzie w ślady Warszawy. Miasto nasze, które chlubi się tradycjami bohaterskich walk nie zawiedzie i tym razem.*

Tak właśnie zaczął się epizod dwudniowych walk o Lublin. Krótki ich przebieg jest znany dość dokładnie. 15 września K. Błoński wyruszył na zwiad w kierunku Jastkowa. Niedaleko od miasta ujrzano tyralierę niemieckich wojsk. Dzięki temu wypadowi sztab obrony otrzymał pewne wiadomości, że wróg już blisko. Następnego dnia oddział konny majora Dudzińskiego stoczył pod Konopnicą bój z niemieckimi kolarzami. Włączył się w walkę również por. J. Dobraczyński z niewielkim oddziałkiem. Wzięto nawet jeńców niemieckich. Następnego dnia walki trwały przy szosie kraśnickiej. W atakach zginęli wówczas por. Iglatowski, mjr Horwatt, 17-letni harcerz Jurek Kędzierski. Walczono również na ulicach wylotowych miasta. Wieczorem, 17 września, oddziały obrony Lublina wycofały się w kierunku Łęcznej. Dowódca wojskowy obrony Lublina, płk Bartak, zginął pod Rejowcem, ranny tam kpt. Lis-Błoński zmarł w październiku. W nocy Niemcy rozpoczęli wkraczanie do miasta. Dwa dni walk na przedpolach Lublina wpisały do wrześniowej, długiej listy bohaterów nowe nazwiska.

— To nie była bitwa — opowiada Kazimierz Błoński — nie jakaś wielka obrona, czy krwawy bój. To był zryw, dziś byśmy powiedzieli: zamanifestowanie patriotycznej postawy. Tego nie brakowało. Gdy wyjeżdżałem 15 sierpnia na mobilizację i jechałem na lubelski dworzec, to dorożkarz nie chciał ani grosza. Nie, mówił, wy jedziecie bronić ojczyzny, a ja bym brał pienią-

„Przeciw wojnie" — międzynarodowa wystawa plastyki. Małgorzata Olkuska (Polska) z cyklu „Medaliony"

Fot. A. Polakowski

Cywile w walce z Wehrmachtem

Stanisław Jadczak

WRZESIEŃ 1939 roku był wojną obronną narodu polskiego. Całego narodu, który rozdarty klasowo, świadomy, że „są w ojczyźnie rachunki krzywd" zjednoczył się w walce o niepodległość zagrożonego teutońskim najazdem rodzinnego domu. Wojna niesiona na skrzydłach Luftwaffe docierała w najodleglejsze zakątki kraju już w pierwszych dniach Września, nagle wszyscy w kraju znaleźli się na pierwszej linii frontu. Społeczeństwo przez długie lata karmione oświadczeniami o naszej sile, przed którym ukrywano potęgę niemieckiej armii, zaszokowały ataki lotnicze, brak polskich samolotów na niebie, odwrót bohatersko walczących jednostek polskich. Nie załamało się jednak, mężczyźni, kobiety, dzieci także — wszyscy potrafili się przestawić, uodpornić psychicznie, nie załamać. Naloty Luftwaffe na bezbronne, otwarte miasta i wsie potęgowały w narodzie wolę oporu, walki do końca. Wrzesień jest jednym pasmem dowodów bezprzykładnego bohaterstwa cywilów z jednostek OPL, kobiet z PCK i PWK, harcerzy, także ludności niezorganizowanej, wypełniających swoje zadania wojenne wzorowo. Cała wszakże obrona ludności bierna, przeciwlotnicza, przeciwgazowa, sanitarna spoczywała na barkach innych cywilów.

Był jednocześnie Wrzesień przykładem pogardy luminarzy sanacyjnego reżimu dla tego społeczeństwa, nie uznawania potrzeby jego pomocy w prowadzeniu działań wojennych. A wszystko to robiono w imię złudnej sławy sterników II Rzeczypospolitej, niechęci do dzielenia się ewentualnymi zwycięstwami w nadchodzącej wojnie z kimkolwiek. W latach 1938—39 sprawy międzynarodowe wysunęły się na czoło działalności politycznej partii będących w opozycji do rządowego obozu sanacji, PPS, SL i inne partie podkreślały gotowość do udziału w obronie kraju, udzielano masowego poparcia trwającemu właśnie procesowi wzmacniania sił zbrojnych. W kwietniu 1939 r. PPS przedstawiła prezydentowi RP kolejny w tej sprawie memoriał domagający się utworzenia w związku z niebezpieczeństwem wojny międzypartyjnego Rządu Obrony Narodowej. Wincenty Witos na spotkaniach z działaczami ruchu ludowego uzasadniał potrzeby cementowania społeczeństwa do obrony kraju. Propozycję utworzenia Rządu Obrony Narodowej ponowili działacze partii opozycyjnych jeszcze raz, w pierwszych dniach września 1939 r., już po wybuchu wojny. I tym razem usłyszeli od przedstawicieli obozu rządzącego, że tylko ekipa sanacyjna jest godna prowadzić wojnę, a społeczeństwo ma siedzieć cicho i wykonywać rozkazy władz.

Zasadę, że cały ciężar prowadzenia wojny spoczywa na barkach wojska i jego dowódców respektowano we wrześniu w sposób uniemożliwiający wręcz czynny udział ofiarnego i pełnego energii społeczeństwa w zbrojnych walkach. Pomijając problem oddziałów Obrony Narodowej, wymagający odrębnego potraktowania, faktem jest, iż w całym Wrześniu zanotowano niewiele przykładów udziału w walkach uzbrojonych oddziałów ochotników cywilnych tworzonych na rozkaz władz wojskowych. Przykład BROW — Brygady Robotniczej Obrony Warszawy, utworzonej przez działaczy lewicowych za wymuszoną zgodą Dowództwa Obrony Warszawy czy też gdyńskich kosynierów, potwierdzają regułę, iż bano się uzbrojenia społeczeństwa, nie ufano mu, dawano powszechnie wyraz tezie jednego z sanacyjnych przywódców, iż lud nie dorósł do tego, nie jest godzien, by otrzymać broń. W chwilach najcięższej próby dla narodu polskiego krótkowzroczność polityki wewnętrznej II Rzeczypospolitej dawała znać o sobie w sposób bardzo ostry.

Ochotników do takiej walki nie brakowało. Setki tysięcy młodych ludzi czekało na kartę mobilizacyjną, na broń. Bardziej niecierpliwi ruszali na wschód, spodziewając się, że na dalekim zapleczu, na Wołyniu, Podolu czy Polesiu ktoś zechce ich wreszcie uzbroić, dać mundur... Ci, co nie szli na wschód, podnosili porzucone karabiny wycofujących się oddziałów, w swoich rodzinnych miejscowościach stawali na drodze wrogowi. To mało znana karta Września...

*

Olbięcin, 14 września. 12 września 1939 r. niemiecki IV Korpus dotarł do Wisły. Jego 14 dywizja piechoty osiągnęła rejon miejscowości Gliniany na północ od Ożarowa, 4 dywizja piechoty przednimi oddziałami sforsowała Wisłę pod Annopolem odrzucając na wschód osłonowy oddział Armii „Lublin". 13 września 4 DP utworzyła przedmoście na „lubelskim" brzegu Wisły w rejonie Annopol — Rachów — Świeciechów, po południu wydzielone oddziały dotarły do rejonu na zachód od Olbięcina i Kraśnika. Wieczorem słabe natarcie niemieckie na Olbięcin zatrzymał 8 pułk ułanów. W nocy z 13 na 14 września Armia „Lublin" zaczęła się wycofywać w ogólnym kierunku na Tomaszów — Rawę Ruską.

14 września w Olbięcinie zatrzymał się żołnierz polski, kapral. Jednego z młodych ludzi, członków Związku Strzeleckiego Bolesława Wojtaszka, poprosił o coś do jedzenia. Strzelec zabrał żołnierza do swojego domu. W trakcie posiłku wpadł do chałupy chłopiec z okrzykiem, że Niemcy idą, żeby żołnierz uciekał. Kapral porozumiał się z Wojtaszkiem — „nie będziemy uciekać, nie po to mamy broń". Zajęli błyskawicznie miejsce na szosie, na słynnych olbięcińskich zakrętach, ostrzeliwując zbliżających się Niemców. Trzech z nich zabili, kilku ranili. W trakcie zmiany stanowisk bojowych przeskakiwali na drugą stronę szosy — tu dosięgła ich seria z ckm-u. Niemcy w odwet za zbrojną akcję żołnierza i cywila spędzili wszystkich mieszkańców Olbięcina, wybrali spośród nich 14-letniego chłopca, Stefana Sagana, i kazali mu przejść przez znajdujące się przy drodze pole mi-

Kamena str. 8

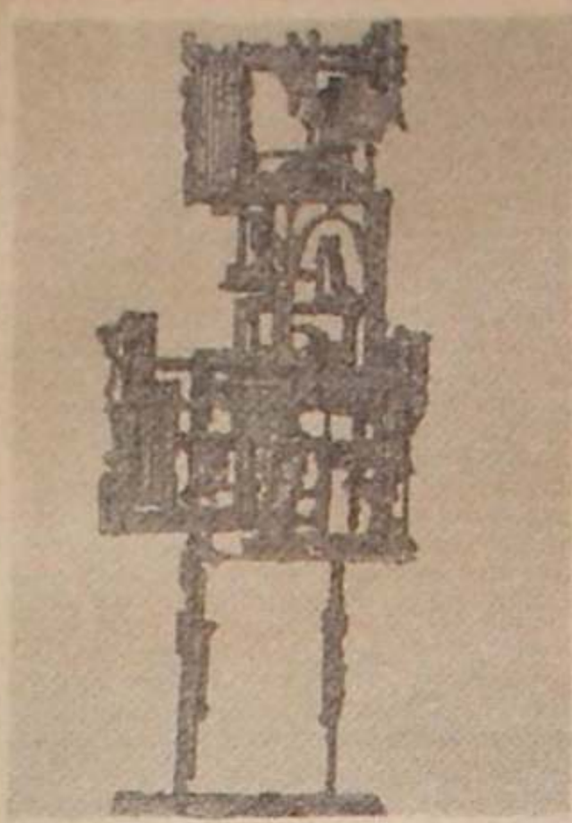

„Przeciw wojnie" — międzynarodowa wystawa plastyki. Janos Kapcsa (Węgry) „Zabytek"
Fot. A. Polakowski

„Przeciw wojnie" — międzynarodowa wystawa plastyki. Arnold Walter (NRD) „Zbita" — II nagroda
Fot. A. Polakowski

dze? Więc to nie tylko wojsko broniło Lublina, lecz także kilka tysięcy mieszkańców-patriotów. Wydaje mi się, że około 6 tysięcy, ale inni mówią, że znacznie mniej. Przeważnie była to młodzież.

W pewnym momencie swych opowieści Kazimierz Błoński sięga po notatki do niewielkiej teczki i zaczyna czytać aktualny (bo tak jest w nagłówku) spis członków koła obrońców Lublina. Ale notatka, zaledwie przed kilku laty spisana, nagle nabiera znaczenia osobistego apelu, gdy dziś się ją odczytuje.

— Błoński Henryk, Warszawa; Lis-Błoński, zmarł w Szczebrzeszynie; Popiołek Tadeusz, jest; Wiśniewski, zmarł; Pietrzak-Jęurych Maria, na Bieruta mieszka; Tylec Aleksander, w drogówce pracuje, wicedyrektor; Wałecki Antoni, też jeszcze żyje; Bujalski, nie żyje; Iglatowski Jan, nie żyje; ale żona, Iglatowska, też należy do nas; Łopatyńska Antonina, na Drodze Męczenników Majdanka mieszka; Jurek Kędzierski, zmarł; Kędzierska Maria, matka; Witkiewicz Krystyna, Gdańsk-Wrzeszcz; Chuchro Janina, na Żmigrodzie mieszka; Klimczak Eugenia, na Wallenroda; Chlebiński Augustyn, inspektor Polmozbytu, zmarł; Okieńczyc Tadeusz; a jeszcze nie wpisany jest kapitan Wacek Kruszewski ze Skłodowskiej.

— To nie była bitwa, jak pod Kockiem, czy na Westerplatte, i nie chodzi mi o to ile było wojska, ile amunicji, ile trupów, tylko chodzi o pamięć o zrywie społeczeństwa, bohaterstwie młodzieży. To mi głęboko utkwiło w sercu. Lubelska załoga chwilowo wstrzymała napór Niemców i te dwa dni się broniła, a i na trzeci dzień Niemcy nie tak śmiało wchodzili do miasta. Pozwoliło to ludziom idącym na Bug, którzy liczyli, że tam zorganizuje się linia oporu, na chwilowe ochłonięcie. Nie znając całości wydarzeń nie wiedzieli, że sprawa i tak już zamknięta. Ale w przypomnieniu epizodu walk o Lublin chodziło o to, by nie pomijać go w apelach i teraz mówi się już o obrońcach Lublina.

Dwa zwyczajne, wielkie dni Września, o których pamięć od lat zabiegają ich uczestnicy, przypomniane w 40-tą rocznicę obrony Lublina, odchodzą na co dzień z kalendarza — spycha je we wspomnienia życie.

„Przeciw wojnie" — międzynarodowa wystawa plastyki. Dżołos Sołowiew (ZSRR) z cyklu „Agresja"
Fot. A. Polakowski

— Kiedyś wnieśliśmy wnioski, by nazwano na Czechowie ulice imionami Dudzińskiego, Horwatta, Jurka Kędzierskiego, obrońców Lublina, ale to jakoś przeszło bez echa. Może dlatego, że nie dopilnowałem, choć jestem przewodniczącym koła obrońców Lublina, chorowałem akurat i byłem zaganiany w tej „Solidarności". W osiedlu już ponadawano inne nazwy ulicom, ale trzeba będzie się tą sprawą zainteresować. I może rzeczywiście napiszę wspomnienia. Tytuł już wymyśliłem: „Sny o wolności".

nowe zastawione jeszcze przez polskie wojsko. Chłopiec zginął na pierwszej minie.

*

Obrona Lublina przez żołnierzy i cywilów-ochotników jest znanym epizodem Września, ale faktem wciąż budzącym kontrowersje. *(Osobno pisze o tym wyżej Bronisław Kowalski — red.)*

Opinia historyka: Polska trwała w oporze nie administracyjnym nakazem czy wojskowym rozkazem — tężniał opór narodu, jednostek, które w tych strasznych dniach ujawniały swój nieprzeciętny talent organizacyjny i wolę walki.

Tak było na Lubelszczyźnie. Wszystkie relacje wrześniowe z Lubelszczyzny podkreślają ogromną i żywiołową pomoc ludności cywilnej dla wojska. Organizowane dostawy żywności i paszy przez ludność cywilną wprost do oddziałów dawały dobre rezultaty. Ludność dokonywała wypieku chleba dla oddziałów, m. in. w Hrubieszowie zainstalowano tzw. piece włościańskie. Oddziały oddawały swoich rannych do szpitali miejskich. Tak było w Lublinie, Szczebrzeszynie, Janowie Lubelskim — pod opiekę władz duchownych (klasztor w Krasnobrodzie) i wprost do domów ludności cywilnej. Po bitwach ludność przystępowała natychmiast do ratowania rannych, zbierania ich z pola bitwy i oddawania ostatniej przysługi poległym. Starano się identyfikować zwłoki, wysyłano natychmiast zawiadomienia do rodzin.

Swoistym terenem walki cywilów z Wehrmachtem były placówki pocztowe. Urzędy pocztowe, telefony działały nawet na terenach już zajętych przez Niemców. Dzielne kobiety-telefonistki łączyły polskich dowódców pod gradem bomb, także już po wkroczeniu Niemców funkcjonującymi jeszcze łączami przekazywały polskim dowództwom na terenach nie zajętych przez Niemców niezwykle istotne dane o składzie oddziałów niemieckich, ich uzbrojeniu.

Zbierano porzuconą broń i amunicję, ukrywając ją „na potem". Ludność zastępowała wojsko w sprawach porządku wewnętrznego. Jan Parandowski pisze jak podczas wędrówki wrześniowymi drogami przez Lubelszczyznę zatrzymała go przed Suchowlą młoda dziewczyna. Stała na skraju lasu uzbrojona w siekierę o długim stylisku, wypatrywała szpiegów i dywersantów. Psychoza, że wszędzie są szpiedzy i dywersanci była powszechna, ale też ludność cywilna czynnie uczestniczyła w ich zwalczaniu. W wielu miejscowościach zlikwidowano poszczególnych agentów niemieckich i całe ich siatki.

Jan Rzepecki, we wrześniu oficer sztabu Armii „Kraków" pisze: *W Szczebrzeszynie* (12 września — przyp. mój) *natknęliśmy się na pierwszą poważną próbę opanowania tylowego chaosu. Oto przy wjeździe i wyjeździe legitymowały nas posterunki jakiejś nieznanej straży nie znanego nam rodzaju — z trupimi główkami na czapkach, posiadające pisemne upoważnienie do zatrzymywania i legitymowania wojskowych bez względu na stopień. Straż występowała bardzo stanowczo, ale instrukcje miała niezbyt jasne.*

W powiecie lubartowskim, widząc ucieczkę elity za Bug, zaczęto obmyślać plan organizacji Straży Obywatelskiej. Straż ta miała składać się z chłopów uzbrojonych w kosy i inne narzędzia ostre pracy rolnika, zatrzymywać pojazdy i ładnie połyskujące limuzyny wraz z dobrze utrzymanymi mężczyznami i formować z nich oddziały przeciw wrogowi. Do urzeczywistnienia tak śmiałego projektu jednak nie doszło...

13 września płk Adam Zakrzewski formował w Radzyniu brygadę kawalerii. *13-go września* — pisze w swoich wspomnieniach — *była u mnie delegacja miejscowej ludności z prośbą o wydanie broni w celu zorganizowania partyzantki na tyłach Niemców.* Płk Zakrzewski przekazał delegacji składającej się z trzech ludzi — dwóch młodych chłopców i jednego starszego żołnierza z I wojny światowej — broń i trochę amunicji.

14 września do Hrubieszowa wkroczyły oddziały niemieckie — przednie jednostki 4 dywizji lekkiej XXII Korpusu Pancernego. Miasta usiłowały bronić doraźnie zebrane oddziały ochotników ze Związku Strzeleckiego. Młodzi chłopcy mieli trochę starej broni, zajęli stanowiska na tzw. Tatarskiej Górze, wzniesieniu przed Hrubieszowem na drodze od Zamościa. Zdołali ostrzelać oddziały niemieckie, ale te po przegrupowaniu się wysunęły do przodu pancerną szpicę. Strzelcy musieli ustąpić pola czołgom. Niemcy nie bawili w Hrubieszowie zbyt długo. Po kilku dniach wycofali się z miasta, a wówczas przed powtórnym wkroczeniem Niemców obronę Hrubieszowa zaczął organizować mjr Witold Radziłło-Radziolewicz, z wykształcenia historyk, profesor gimnazjalny, były dowódca artylerii fortecznej twierdzy Modlin. W zaprowadzeniu ładu w chaosie ogarniającym Hrubieszów pomógł mu starosta hrubieszowski, kpt. Orzechowski. Tak powstała Grupa „Hrubieszów", składająca się z żołnierzy zatrzymanych w mieście podczas odwrotu i ochotników — mieszkańców miasta. Ludność miasta na najbardziej zagrożonych kierunkach kopała rowy, budowała barykady. Brakowało broni, mjr Radziolewicz zapelował więc do ludności cywilnej, by oddawała znalezioną broń i amunicję. Wojsko wzbogaciło się w ten sposób o wiele rkm-ów i ckm-ów.

*

W końcu września oddziały Grupy „Polesie" gen. Kleeberga przekroczyły Bug pod Włodawą. Stacjonując kilka dni pod Włodawą gen. Kleeberg zreorganizował grupę, zaprowadził ład i porządek na terenie b. powiatu włodawskiego. Do oddziałów gen. Kleeberga masowo zgłaszali się ochotnicy z powiatu włodawskiego. Ludność cywilna pomagała też mu w inny sposób. Z braku map Lubelszczyzny gen. Kleeberg posługiwał się przewodnikami. Służbę tę — jak wspominają żołnierze SGO „Polesie" — chętnie pełnili mieszkańcy, zazwyczaj rezerwiści, dla których nie starczyło broni. Cywilni przewodnicy prowadząc wojsko byli jakby na pierwszej linii frontu — w razie schwytania przez Niemców narażali się na rozstrzelanie za współdziałanie z wojskiem. Mimo to zgłaszali się zawsze na wezwanie, prowadzili oddziały z ochotą.

Podczas marszu SGO „Polesie" przez Lubelszczyznę — wspomina dowódca dywizji „Kobryń" płk Adam Epler — *w końcu września, napotkaliśmy dwa nasze oddziały partyzanckie. Jeden z nich dowodzony przez znanego nam majora Gr, drugi przez inżyniera z Genewy p. W. Oba — każdy w sile kilkudziesięciu ludzi — grasowały na tyłach wojsk niemieckich, niszczyły mosty, likwidowały żołnierzy, niszczyły nawet samotne wozy pancerne i czołgi. Dawaliśmy im środki do walki i pomagaliśmy razem z ludnością cywilną. Pracowały jeszcze długo po złożeniu przez nas broni.*

Rozpoczynał się nowy etap walki społeczeństwa z najeźdźcą zbrojnego ruchu oporu. Broń zbierana na polach wrześniowych bitew przez chłopów i mieszkańców miast miała teraz służyć partyzantom.

Kamena str. 9

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Pan Piecyk jest nieśmiertelny

Zygmunt Mikulski

CZYM jest śmierć? Śmierć pisarza? Pytanie to bynajmniej nie jest banalne. Chodzi o to, jak w świadomości społeczne, przełamuje się fakt, że ręka, która nakreśliła tyle słów budzących wzruszenie, śmiech, radość, melancholię, zadumę, całą klawiaturę stanów psychicznych nie napisze już ani jednego słowa, znieruchomiała na zawsze.

Tak, każdy fakt śmierci osoby znanej prywatnie albo publicznie pobudza refleksję na temat tzw. spraw ostatecznych dotyczących człowieka, ale każdy ze znanych pisarzy jakgdyby umierał „oddzielnie", nie „w obrębie" biologicznego gatunku, do którego należy. Na dobrą sprawę nie chce się w taką śmierć wierzyć. Nie wierzę, że umarł Wiech.

Nie chcę pisać „noty pośmiertnej", czytelniczego wspomnienia z dawnych lektur, felietonu, który zawierałby próbę podsumowania korzyści, jakie się odnosiło w kontakcie z tym pisarstwem. Zrobili to inni, a świetny szkic zamieścił w „Literaturze" Jan Koprowski. Nie czuję się upoważniony, nie znam dorobku Wiecha w całości, nie wolno mi do żałobnego chóru dodawać fałszywej nuty. Ale na tej zasadzie, że Wiech na dobrą sprawę we mnie nie umarł, chciałbym kilka słów w kąciku tej rubryczki wyszeptać.

Przecież z wdzięczności. Jakiej? Takiej, że Wiech pomagał mi... żyć. W wydaniu Gieni i pana Piecyka przedstawiał świat prostszy, niż czyniły to teksty Cezara, później Horacego, podręczniki historii, na którą moja pamięć zawsze okazywała się za krótką kołdrą, wzory fizyczne z natężeniami pól magnetycznych, oporami elektrycznymi itp. Skołataną głowę przynosiło się do domu i otrzymywało wsparcie. W tym, że jest język zrozumiały, łatwo przyswajalny, a jednak zawierający niecodzienną dawkę humoru, inwencji, stylistycznej energii. Właśnie o język mi chodzi. Bo nie mogę powiedzieć, że od Horacego uciekałem do pana Piecyka i na tym polegała moja korzyść z lektury. Ale proszę sobie wyobrazić co to było za kapitalne odprężenie umysłowe, jaki przepływ świeżego powietrza przez umęczony łeb.

Dziwne. Wiech to żargon Targówka i Pelcowizny. Doroszewski terminem „wiech" obejmował zjawiska językowe warszawskiego przedmieścia. Więc Stefan Wiechecki pisał o ludziach prawie ze społecznego marginesu! Osobliwość polega na tym, że się tego nie czuje. W żaden sposób nie potrafimy wykrzesać z siebie niechęci ani do Walerego Wątróbki, ani do szwagra Piekutoszczaka. Ba, nie widzimy zwulgaryzowania języka. Na odwrót. Ten sposób użytkowania mowy — pewnie, że przez Wiecha zmodyfikowany i przetworzony artystycznie — odkrywa nieoczekiwane aspekty, możliwość odświeżenia znaczeń, zdolność słowotwórczą. Słowo wzięte z innego obszaru kulturowego mocą talentu pisarskiego stało się nam bliskie, jednoczące we wspólnym odruchu życzliwej reakcji. Polska śmiała się z powodu, a nie z pana Piecyka.

Czy jest to literatura drugorzędna? Nie, ponieważ fenomen Wiecha jest na tyle szczególny, że wymaga dla siebie odrębnej klasyfikacji. Powiedziałoby się, że przy Wiechu o literaturze w ogóle zapominamy. Jest on u nas w domu, jego humor jest częścią naszej środowiskowej atmosfery, powiedzonka z jego felietonów może nawet częściej znajdowały się w powszechnym użyciu niż swego czasu wersety z „Wesela".

A gdyby nawet i drugorzędna. Chwała takiej. Nie do zniesienia byłaby literatura składająca się z samych „Hamletów", „Anhellich" i „Cierpień młodego Wertera". O ile ta wielka i romantyczna stawia przed człowiekiem zadania na miarę nie krawca, ale Fidiasza, o tyle ta drugorzędna pociesza go sprowadzając komplikacje świata do rozmiarów jego odczuwalności, możności recepcji, co chyba nie jest zawężeniem horyzontów, ale tak samo aktem humanizmu.

Jeśli chodzi o mnie, przyznam się, że w literaturze drugorzędnej gustuję.

Czego mam się wstydzić? Czy mało wybitnych pisarzy wypowiada się w ankietach za powieściami sensacyjnymi? A to przecież literatura nawet nie drugorzędna. Za wspomnieniami i pamiętnikami, które właśnie przez to, że nie zamierzone literacko osiągają efekt literacki tym skuteczniejszy, że mimowolny? Nie, nie pokażę rumieńca wstydu. Sam Rimbaud kochał się w „książczynach erotycznych o wadliwej pisowni". Oczywiście — przyjmujemy to cum grano salis, z poprawką na swobodę poetycką, nie chodzi przecież o glorylikację pisarskiego kiczu. Ale — powtarzam — cenię książki, które mają określony rozmiar zadań i skutecznie je wypełniają nie ryzykując niepowodzenia na obszarze zbyt wielkim. Cenię literaturę o zasięgu wojewódzkim, nieczytelną nawet dla kraju. Nieczytelną przez ten koloryt lokalny, który można nazwać kulturowym mikro-klimatem.

Już zdradzam, do czego, kluczące, zmierzam. Istnieje w dorobku środowiska lubelskiego książka Konrada Bielskiego „Most nad czasem". Napisana raczej w zbytnim pośpiechu, nie za bardzo starannie, nawet sam tytuł posiada potknięcie. (Tak, potknięcie, ponieważ jest to wspomnienie, tok narracji zgadza się z przepływem czasu, czas przedstawiany w postaci rzeki, most zaś prowadzi z brzegu na brzeg, czyli — w tej metaforze — z bezczasu w bezczas). Ale to wszystko, o dziwo, nie odbiera charakterystycznej urody tej książce napisanej z takim serdecznym odruchem dla dawnych znajomych, dla scen z nimi przeżytych, dla wydarzeń młodości i poetyckich dokonań. Takie np. zdanie: „Luboml to niewielkie, zagubione wśród łąk i ogrodów miasteczko, w którym najokazalszym gmachem była murowana bóżnica, zabytek z siedemnastego wieku." To „zagubione wśród ogrodów miasteczko", ten stereotyp stylistyczny nadużyty kiedyś już w co gorszych wypracowaniach szkolnych (nie mówiąc o literaturze wagonowej, czy obliczonej wyłącznie na zarobek wydawcy), jakże fortunnie ożywa w tej ekologii słownej. I jaka godna podziwu bezpretensjonalność autora, który nie zawahał się użyć zwrotu o takiej proweniencji. To w swoim środowisku ma akustykę. Środowisku, nie dalej. Nawet na dobrą sprawę nie bardzo należało by się kwapić z prezentowaniem podobnych tekstów na zewnątrz. Niech to zostanie w gronie rodzinnym. Nie najlepsze, ale nasze. A „poczucie własności — gdzieś kiedyś przeczytałem — robi z piasku złoto". Muszę przyznać, że wertując ponownie (ile już razy?) „Most nad czasem" czuję się u siebie, bo bardziej wśród swoich, których nie widziałem, niż mogliby być nimi wszyscy ci, których widzę.

Dlaczego się tego nie kontynuuje? Czyżby zmierzch wspomnień? Czy następne pokolenia nie mają czego wspominać? To niech się zawstydzą bardziej, niż powinienem ich zdaniem uczynić to ja przyznając się do atencji dla literatury drugorzędnej.

Właściwie, czy trafnego terminu użyłem? Nie chodzi mi przecież o drugorzędną. Chodzi o realizującą postulat przystawalności spełnienia do artystycznego zamiaru. O tę, która nie mierzy za wysoko, ale i nie chybia, a niesie daleko i szeroko. O Wiechu nigdy się nie myślało jako o literacie. Nie myślało się, a wszedł do nas niepostrzeżenie, nawet nie zauważyliśmy, kiedy zaczęliśmy go traktować jako domownika w naszym domku z książkami. Bo przyniósł nam radość, wytchnienie, czytelniczą satysfakcję z nieoczekiwanego źródła: gwary przedmieścia.

Henryk Pakulski

* * *

Ową pamięć strącasz sam
tak jak ten czas strąca liście dnia
jak czas słoneczny po burzy na morzu
akacje już nie rosną
i nie mam w garści ich słodyczy

Brzmią echa wycia syren statków
ugiętych dni coraz mniej kiedy po falach oceanu
roznoszą się echa zgiętego Bolera

W ową noc opieram plecy
o ów filar mądrości z twórczości
i nie Lawrenca
to inny jest wspomnieniem
więc rośnij lesie spalony
ciemny wietrze zapomnienia nadal wiej
ostrym zapachem światła i krwi
wiej rosnące czerwone korzenie
z moich dni spędzonych nad
mostem „Przepaści"

* * *

Były meble mahoniowe dywan perski
wszystko było pełnym kompletem
nawet jej fotografia która ramy miała z drzewa
eukaliptusowego
ramy okien wszelkie

Mógł teraz słuchać Schumana Liszta
myśląc o jej dziecku
że wychowuje inny mężczyzna
który leżał w wieniec odziany
czas teraz mu objaśniał inne spojrzenia
na obraz Marii

Więc może nie pamiętał spotkań?

Tulił poduszkę do swego zimnego ciała
modlił się na zwiastowanie przyjścia

Byli raczej swoim błędem z dobrych bram na świat
więc tak był przesadnie tolerancyjny powitaniu
alfonsa nie oddał życzliwego uśmiechu

ODEJŚCIE

Wzgórze noszę i wiem ile śladów pozostawiło
w burzliwej śnieżycy krajobrazom toni bieli
odwróciliśmy oczy na rozległą dolinę lasów
świerkowych
i co ukazaniem koryta rzek, tak lepiej iskrzy oczy
w masywność góry to opamiętali się oboje w
pamięci
nienaruszenia samotnej kapliczki i dla tamtych
odejść
suną się chmury brunatne w ich oczach
to z deszczem wiatru tego wzgórza określili dolinę
imieniem „Kobiet"
Odejście nastąpiło w chwilę ujrzenia cudu kobiety
kobiecy odgłos wnieśli na nasze i wiele inn
śladów pozostawiło?

Nie [illegible] że nie pojechałam z tobą, [illegible] wbrew niemu. On [illegible] nie chciał. Był zdziwiony bardziej niż dawniej. Potem, w [illegible] nad jeziorem, mawiał: „Myślałem, że ci to przeszło i nie masz więcej złudzeń, że już po wszystkim, po naszej... miłości. Jesteśmy razem dla nich, dla naszej trójki, nie [illegible] siebie. Sądziłem, że dlatego tylko znosisz to, czego inna znosić by nie chciała, ani się zgodziła". Tak, kilka razy to wracało, a po tych zdaniach patrzył na mnie długo, jakby mnie na nowo ujrzał i we mnie się rozpoznawał. Nie wiedziałam: zawarł w tym spojrzeniu wyrzut, czy zdziwienie. I wtedy znowu zamknął się wewnętrznie, zakluczył. Zanim znajdowałam szczelinę, nim mogłam przez nią rzucić promień mojej uczności, sama kostniałam i już wtedy rodziło się chyba we mnie również coś zimnego, obcego.

Nie powinieneś jednak mieć mi za złe tamto cofnięcie przyrzeczenia. Nie mogliśmy pojechać razem nad morze, musiałam z nim. Postanowiłam nagle lepiej poznać mego męża. Lepiej, to za mało, po prostu zapragnęłam go w ogóle poznać od nowa, rozejrzeć się w jego sprawach. Nie śmiej się, po piętnastu latach małżeństwa musiałam go nareszcie dobrze poznać. Nie mogłam pozwolić mu odejść nie pojmując do końca kim on jest, czym się powoduje, że między nami jest tak, jak jest. Nie spodziewałam się w nim głębi, odczuwał przecież kompleks jej braku, ale tym szczelnym zamknięciem się w sobie górował właśnie nad moim otwarciem, nagością mojej duszy. Nie mogło to być wyrozumowane, nie wynikało z wyrafinowania. Przecież nie odbierał muzyki, nie cierpiał mojego świata! Nawet chłopcom nie był przychylny, bo chodzili do szkoły muzycznej, bo to ja ich tam posyłałam wbrew jego przyzwoleniu. Bywał chłodny dla małej, gdy chciałam umieścić ją w balecie dziecięcym, wzbraniał jej tego, aby nie zaświtała jej myśl o gwiazdorstwie. Surowo trzeba wychowywać, jak to czynił mój ojciec, argumentował. Twój ojciec orze, ty jesteś referentem zaopatrzenia w fabryce, nie we wszystkim naśladujesz ojca, tłumaczyłam. Wtedy on: po to są szkoły dla chłopów, aby się nareszcie mogli uczyć, awansować, nie muszą jednak rezygnować z zasad, które uważają za dobre i żadna mieszczka, choćby inteligencka i z muzycznej rodziny, nic tu nie zmieni.

Sam w tym czasie mieszczaniał, tyle że po nowemu i zewnętrzne. Brał całymi garściami wszystko, co się dało, byle upodobnić się do innych, nie odróżniać się makatka, papierowym kwiatkiem w wazonie. Pieskow wprawdzie nie kupił, ale nadymał się prowadząc w niedzielę z kościoła tych naszych synów i córkę. Wystudiowanym uśmiechem, już na odległość, drogim kapeluszem a'la Chevalier kłaniał się doktorostwu, inżynierostwu, wielu których uznawał, że nad nim górują, a także, jak w jego wiosce się należało, proboszczowi. Bawiło mnie to, ale tylko z początku. Stopniowo dorośladam z dziewczęcia, które niedawno poślubił. Potem niedzielna celebra męczyła mnie już nad miarę. Powiedziałam mu to tak szczerze, że poczuł się do wzajemności. Przestał mi towarzyszyć na piątkowych koncertach symfonicznych i... wtedy, tak, wtedy dopiero mogłeś mnie poznać.

Płoszyła mnie ta twoja obecność na sąsiednim fotelu. Wciąż otrzymywałeś od tego narcyza w kasie biletowej miejsce mego męża i mało patrzyłeś na dyrygenta. Odczuwałam od tego wieczornego koncertu twoje ukośne, źle skrywane spojrzenie na sobie. Wiedziałam, że coś musi się stać, że będziesz dążył, aby coś się stało i zaczęłam się bać. Siebie. Nie tul mnie tak mocno, no, przestań niecierpliwcze, wiem, że nie było to mądre z mojej strony, ale ten lęk był we mnie nawet wtedy, gdy znajdowałam się już w domu i wsłuchiwałam się w Maciejowe chrapanie, w domowy koncert, znajomy, jak mruczenie kota. Na następny recital biegłam potem na długo przed właściwą godziną, aby usiąść pierwsza, bo wiedziałam, że nie potrafiłabym zająć miejsca, gdybyś już siedział na swoim. Wydawało mi się, że byłoby to tak, jak gdybym przyszła na umówione spotkanie, którego zresztą mi jeszcze nie zaproponowałeś. Biegałam nawet na powtórzenia, na koncerty szkolne, ale ty na nie nie przychodziłeś. Spodziewałam się odbierać muzykę jak dawniej, [illegible] potem twoją [illegible]

Rozglądanie się w najbliższym

Tadeusz Jasiński

ność, posadziły ciebie obok. Dopóki towarzyszył mi mój znudzony i nic nie rozumiejący, niczego nie odczuwający mąż, nie przeszkadzała mi jego obecność. Zapominałam, że obok siedzi głaz, przez który nie przenikają żadne tony, a muzyka nie porusza w nim najmniejszej nawet struny uczuć. Mogłam odbierać to wszystko, co działo się przede mną, co pod przymknięte powieki i w bardziej jeszcze uczulone uszy dochodziło do mnie z podium orkiestry. Od chwili, gdy po raz pierwszy zająłeś jego miejsce w fotelu coś innego grało we mnie, coś, z czego nie umiałam zdać sobie od razu sprawy. Miałam takie odczucie, jak przedtem, gdy czytałam jakąś stronicę książki, a równocześnie zainteresowała mnie audycja w radiu. Lekturę musiałam powtarzać, bo nie wiązałam nawet myśli i akcji powieści. Także i po koncertach przy tobie miałam uczucie, że muzyka płynęła, jakby obok mnie i w ogóle niczego nie odebrałam dla siebie. Dlatego chodziłam na powtórzenia. Pragnęłam niczego nie uronić, a równocześnie zdawałam sobie sprawę, że bez tej przeszkody, bez twojej obecności także nie potrafię już przyjmować muzyki. Stałeś mi się potrzebny, choć mąciłeś mój spokój, chociaż do mnie nawet jeszcze nie przemówiłeś w antrakcie.

Równocześnie odczuwałam bezwiedny szacunek dla chłopskości męża, uznanie dla tego dawnego w nim, chociaż nas różniło. Dzieliła nas jednak i ta jego chłonność na nowe, w którym dawno już rozejrzałam się że jest stare. Ten upór zaprowadził go, a mnie wraz z nim na uczelnię, mimo że na to nie miałam już ochoty. Zresztą był zdziwiony, kiedy mnie spotkał na wstępnym egzaminie. Teraz dwoje utytułowanych durniów nie może uładzić najprostszych swoich spraw. Mój domowy radca prawny nie potrafi sobie poradzić ze mną, a ja go rozsądzić, mimo że przypadło mi to robić wobec innych. Rozglądam się w tej naszej sprawie, rozglądam w okolicach naszego małżeństwa i wciąż mi się zdaje, że znajduję, że tuż tuż jest istota różnic, a więc i możliwość ich oddalenia, naszego ponownego zespolenia, ale on mi się wymyka.

Poznanie ciebie niczego nie ułatwiło. Przeciwnie. Przykryj się, kochanie, jest tu dość chłodno. Ta twoja kawalerka... No, dobrze już. Był czas, kiedy wystarczała nam kawiarnia i niczego nie pragnęliśmy zmieniać. Przynajmniej ja nie chciałam, wtedy pojechać do ciebie nad morze, a przecież jestem w twoim mieszkaniu, znowu tu jestem i mimo tej obecności nie zaznaję szczęścia zupełnego, takiego, jakie powinno pozwolić mi przynajmniej w czasie tych godzin z tobą zapomnieć o tamtych, co zostawiam w domu. Powtórzyłeś kiedyś za Zapolską: czy nie mówimy o nim aby za dużo!?, pamiętasz? Mimo przyrzeczenia nie potrafię przy tobie nie mówić o Macieju, słuchaj, Jerzy, nie umiem i nie powinieneś mi tego wzbraniać. Z kim mam o nim mówić jeśli nie z tobą? Koleżankom nie zaufam, matka nie zrozumie, nawet mnie potępi. Nie może to ciebie obrażać, że o nim mówimy. O tym, co między nami, sam kiedyś powiedziałeś, nie należy mówić, — to trzeba czynić. Widzisz, jak postępuję w mojej demoralizacji, jaka pojętna ze mnie uczennica. Uczyłeś mnie bezwstydu, wpajałeś go we mnie wraz ze szklankami kawy i wina, sposobiłeś mnie do naszej decyzji miesiącami, niech więc teraz ciebie nie uraża poplon twoich nauk. Rozsmakowałam się w tym, co mi potrafisz dać, ale nie zapomniałam przez to o dawnym, o codziennym. Pragnę się tobą podzielić z jego dziewczyną. Nie, nie protestuj, przyrzekałeś mi przecież pomoc i przyjaźń. O tym, co jest między nami nie było wtedy jeszcze mowy. Nie możesz cofnąć tamtych przyrzeczeń. Nie myśl, że już wtedy, gdy przyzwoliłam na naszą bliskość, planowałam to dzielenie się tobą. Nie wiedziałam wcale, że tak mogłabym postąpić z danym mi przez los mężczyzną, z pokochanym tak bardzo, że teraz mogę tobie wszystko wyznać. Nie chcę tobą rozporządzać, nie mogę od ciebie żądać aż tyle ile żądam, wiem.

Pragnę jednak wiedzieć dlaczego Maciej mnie nigdy nie uznał, czemu nie okazałam żadnego wpływu i stałam się rzeczą tylko w jego domowym inwentarzu. Rodziłam mu dzieci, pracuję w sadzie i w domu, pomagałam mu w awansach, stworzyłam dom, jakiego nie dałaby mu inna. Przychodzili do nas znajomi chłonąć w siebie jego atmosferę. Nabierałam otuchy, bo wtedy on umiał wykrzesać z siebie uśmiech, rozwiązywał język, ożywiał się jak na wiejskiej zabawie, kiedy za czasów narzeczeństwa bawiliśmy się we wiosce jego rodziców do rana. Jerzy! Potem okazało się, że on tylko grał, znakomicie symulował przed gośćmi szczęśliwość!

W Łagowie już wcale nie udawał. Chyba zaraz nazajutrz pojął moje zamiary i nie poddał się moim zabiegom. Przeciwnie, a ja do końca prawie nie wiedziałam, że jego przyjaciółka sypia i oczekuje go w sąsiednim domku campingowym. Był przygnębiony tą moją decyzją o wspólnym urlopie, tą moją obecnością i jej bliskością, którą musiał przede mną ukrywać. Ja naszą bliskość z Maciejem odczuwałam jak darowiznę, wymuszoną pańszczyznę, więc tym garliwiej chciałam rozproszyć jego chmurność, narzucić mu nastroje z dni najszczęśliwszych, jakie zapamiętałam. Dawniej bawiło go moje bezowocne prawie szukanie robaków, moja nieodporność, gdy w podeszczowe wieczory wychodziliśmy z latarką na murawę tropić rosówki. Także daremne rzucanie wędziskiem. Nawet to go wzruszało i powodowało większą opiekuńczość, specyficzną męską pedagogikę, starał się być moim nauczycielem spraw tak tajemnych, że nawet dla takiej dziewczyny, jak ja, niepojętych. Teraz, mimo że czasem mi się szczęściło, przyjmował moje sukcesy obojętnie. Opancerzył się bardziej jeszcze niż w mieście, rybackimi zwyczajami okiełznał moje pragnienie rozmów. Nie udostępnił mi siebie, nie otworzył szczelin, przez które chciałam się wemknąć, zespolić i pozostać w nim. Ta moja gotowość niewolnicy rozzuchwalała go nad miarę. Znosiłam wiele, byle spełnić co zamierzyłam. Wycedził w końcu obraźliwie: Jesteś jak mała i bezbronna płoć na piasku, dusisz się z nadmiaru powietrza i braku wody, w której pragnęłabyś się pławić na nowo. Nie zarzucę jednak w twoją stronę wędziska. Hak mojej wędki rani! I po tych słowach pierwszy raz roześmiał się rozgłośnie. Mimowolnie poprawiłam kostium kąpielowy, alby lepiej okryć się przed jego krytycznym spojrzeniem. Uciekłam znad brzegu jeziora, aby wypłakać się pod daszkiem z gałęzi skleconym dla nas szałasem, który sposobiłam, aby nie siedzieć wciąż w domku, w bliskości obcych ludzi. Nigdy nie wstąpił do mnie, choć cała go przywoływałam. Ta konstrukcja służyła mi więc samej, jako płakalnia i samotnia.

Pewnie jego dziewczyna usłyszała mój płacz, bo wieczorem wyjechała znad jeziora Trześniowskiego. Dokąd, nie wiem. Maciej spostrzegł to dopiero w nocy, gdy wrócił z wieczornego łowienia na łodzi. Nie mówiłam mu o wyjeździe sąsiadki, bo sama ich jeszcze ze sobą nie łączyłam. Zrozumiałam dopiero wtedy, że to była ona. Zawsze, kiedy już spałam, wychodził przed nasz domek. Kiedy się budziłam, przywoływałam go, aby się położył. Pytałam po co tak codziennie wysiaduje na dworze, nawet gdy jest zimno. Przeziębisz się — troszczyłam się o niego. — Zenka, on do mnie, Zenka, a jeśli ci powiem, że nad jeziorem wyje do księżyca, albo do snutnika, czy uwierzysz?! Tamtej nocy, kiedy wrócił, nie powstrzymał się od wymówienia jej imienia: Barbary nie ma w campingu, jakiś obcy tam mieszka — powiedział przygnębiony i pochylony, jak stary człowiek. Zenka! Coś ty jej nagadała, coś ty zrobiła, że ona tak nagle bez pożegnania?! Wiedziałaś, że jej nie ma, a nic nie powiedziałaś — zawołał oskarżycielsko, jakby był przekonany, że już wtedy, że przez cały czas wszystko pojmowałam.

Przygasł, przynosił krocie grzybów i ryb, ale nie znajdowałam w nim dawnej dumy człowieka lasu i wędkarza, ani pełnego przechwałki pytania: starczy dla nas? Zawieszał zdobycze na sękach sosny, jak pierwotny mężczyzna, który dopełnił powinności żywiciela, nic więcej. Mogłam po tamtej nocy wyjmować mu z rąk wędziska, podrywać taaaką ryyybę, nie protestował, nie był zawistny, ale też nie znalazłam w jego twarzy nawet nikłego odblasku radości. Siedział otępiały, na wezwanie wchłodził spokojnie w wodę, siatką kasiarka podtrzymywał skutecznie naiwną rybę. Napinał wspaniale muskuły, nie pozwolił zerwać się mojej zdobyczy. Mogłam do syta znowu patrzeć na ciało walczącego ze szczupakiem męża. Dopiero bowiem w takich chwilach Maciej zapominał o swojej udręce, dla takich momentów pragnęłam więc dużej i drapieżnej ryby, ale ona przychodziła rzadko. Zdawało mi się w takich minutach, że uchwyciłam znowu dawną nić porozumienia, że już więcej mi się nie wymknie. Chciałam koniecznie tę nić zatrzymać w swoich dłoniach. Nie po to, aby nim przy ich udziale kierować, ale pragnęłam się w nią przynajmniej wplątać, jak dobywana ryba. Niechby on nawet trzymał końce, byle chciał trzymać i być blisko. Maciej jednak uparcie przeradzał się z powrotem w mumię, kucał nad brzegiem i zamierał. Oddalał się znowu, zdawało się bezpowrotnie, a sprowokowany powtórzył z okrucieństwem, jakby mu to szczególnie się podobało i zdawało głębokie: Nie zarzucę w twoją stronę wędziska. Hak mojej wędki rani.

Nie udało mi się więc lepiej poznać męża. Stał się dla mnie jeszcze większą, obolałą zagadką, chociaż przez ten nagły wyjazd Barbary wiedziałam już więcej. Oburzało mnie to ich pewnie wcześniej zaplanowane wspólne wczasowanie. Nie, nie, to mniej, ale raczej, że po mojej propozycji wspólnego z nim wyjazdu i jego wymuszonej zgodzie, z poprzednich zamiarów nie zrezygnowali. Byłam jeszcze czysta, za taką nadal się uważałam chociaż przyrzekłam ci przedtem mój wyjazd z tobą nad morze. Na tamtym wyraju odczuwałam swą wyższość nad Maciejem, bo nie należałam jeszcze do ciebie. Dziś wiem, że sama moja zgoda na wspólne z tobą wczasy równała mnie z decyzją Macieja i Barbary. W tamtych dniach czułam się uprawniona do gniewu większego niż okazałam, skrywałam go jednak nie z powodu przeczuwanej zgody z tobą na wszystko, ale właśnie z tej nadziei, że po odkryciu jego związku, po wyjeździe jego dziewczyny Maciej mi się otworzy, że ta moja wyrozumiałość ujmie go, bo spotka się z niespodziewanym. On chyba jednak nie był w stanie przyjąć mojej łagodności, stawał się bardziej jeszcze napastliwy i wrogi. Źle mi było, gorzej mi było niż przed jej odjazdem. Zwykła zazdrość człowieczą, przed którą się tak broniłam, znalazła sobie do mnie dostęp a jej nieujawnienie dręczyło mnie tak bardzo, iż tylko w moim szałasie, co miał być naszym, znajdowałam uspokojenie.

Rys. Edward Inglot

Już od chwili, gdy zrozumiałam, że się znają, już po słowach: Barbary nie ma w campingu, jakiś obcy tam mieszka i wreszcie po oskarżeniu: wiedziałaś, że ona wyjechała, a nie powiedziałaś, cierpiałam bardziej niż na to byłam przygotowana przez poprzednie nasze oddalenie. Od tego momentu byłam pewna tego, czego nawet nie przeczuwałam. I przywoływałam sobie jego spojrzenia w jej stronę sprzed przedpołudnia, z poprzednich dni, kiedy szła ku wodzie, gdy stopniowo w niej się zanurzała, a potem zwycięska z niej wychodziła i mijała nasz domek. Inaczej od tego zawołania rozumiałam jego niepokój o sąsiadkę wariatkę, jak mawiał, co tak daleko wypływa na jezioro. Nawet z wieży zamku Joanitów zwracał wciąż oczy ku naszemu obozowisku i ku szałasowi, który podobnie, jak ja, wybudowała sobie dodatkowo bezpośrednio nad wodą. To wszystko jednak pojęłam za późno. Ooo! Gdybym spostrzegła się wcześniej, rozeznała się w jego sprawach, choć kilka godzin przed tamtym wieczorem, kiedy był jeszcze czas, wyjechałabym pierwsza. Nie oskarżam się, ale dopiero wtedy mogłabym pojechać do ciebie, tak, jak dopiero brzemienna w tę spóźnioną wiedzę o istnieniu tej urok' wej dla Macieja dziewczyny mogłam odwiedzić twoje mieszkanie. Nie z zemsty, nie z pragnienia odwetu potrafiłabym do ciebie pojechać i nie z tej przyczyny umiałam się tu znaleźć, ale nie poczuwałam się już do lojalności. Nie obwiniam się, lecz przedtem mało myślałam o tobie i teraz mało o tobie dumam. Tylko na tych koncertach udzielała mi się jakaś twoja moc, której nie umiałam rozwikłać. Nawet teraz, kiedy już tak wiele się dokonało, spowiadam się ze spraw tobie obcych. Powiedz, co ja w nim kocham oprócz tego, że dał mi troje ślicznych i utalentowanych dzieci? Jerzy? Odezwij się wreszcie, Jerzy!

Więc poznasz ją, rozkochasz w sobie! Ty tak umiesz nas ubezwłasnowalniać! Poznaj, co w niej jest takiego, że pewnego dnia wrócił do domu inny, odmieniony. Pamiętam terez lepiej ten dzień: wrócił inny niż był wyszedł. Dziwne to, ale kiedy przychodzi późno od niej, jest lepszy. Nie chcę jej kopiować, nagrać się na jej płytę, ale muszę przynajmniej wiedzieć czemu tak jest, jak jest, rozumiesz? Pragnę przetworzyć w sobie wszystko, co go w niej fascynuje, a kiedy odbierzesz mu Barbarę, zaofiarować siebie nową Maciejowi. Nie może ciebie obrażać, że nie pojechałam z tobą nad morze, bo wciąż jestem jeszcze jego. Nie stracę jednak chyba ciebie, gdy mu odbierzesz tę kobietę, gdy odda mi męża? Bez ciebie również nie potrafiłabym go tak kochać. Potrzebny mi jesteś. Pójdziesz do niej, nie odchodząc całkiem ode mnie. Będziesz mi wszystko o niej mówił i o Macieju, to, co ona myśli o moim mężu, co z nim przeżyła i przeżywa, abym wiedziała czym go ujarzmiła i obłaskawiła, dlaczego jest jej podległy. Ponad wszystko jednak, czego brakowało mu we mnie. Kobiety wiele mówią swoim kochankom, ona ci wszystko powie, a ty mnie. Czemu wstajesz? Nie, nie chcę jeszcze do domu, zostanę trochę u ciebie. Nie możesz mi w takiej chwili kazać odejść! Źle mnie rozumiesz, Jerzy! Ty mnie całkiem opacznie rozumiesz! Nie pojąłeś, słuchaj, ty mnie nie pojąłeś! No, to nie, nie musisz jej poznawać, ale nie każ mi jeszcze odchodzić!

Więc Maciej nie pozwolił mi siebie poznać, opancerzył się i...

Chełm 80 Fot. Piotr Maciuk

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 75 LATY

W księgarni p. Gederbauma w Lublinie są do nabycia uznane za higieniczne i zalecane przez pedagogów pulpity, przeznaczone do użytku przy czytaniu lub przepisywaniu z książki. Jak wykazała statystyka, najwięcej chorób oczu i skrzywień kręgosłupa wywołuje nieprawidłowe siedzenie dzieci przy książce lub kajecie, w pozycji pochylej, powyższe zaś pulpity niedogodność tą w zupełności usuwają a zatem zasługują na uwagę rodziców dbających o prawidłowy rozwój fizyczny swych dzieci.

•

Nowowybudowany na Czechówce przy ulicy Lubartowskiej most, został w tych dniach przez zwiasto przyjęty i po takowym obecnie trwa ruch prawidłowy.

•

Sprawa wprowadzenia nowego umundurowania dla urzędników wszystkich zarządów cywilnych będzie wkrótce ostatecznie rozstrzygnięta. Urzędnicy wszystkich ministrów otrzymają jednakowe mundury, różniące się tylko wypustkami i innymi szczegółami zewnętrznymi. Urzędnikom klas niższych wolno będzie nie sprawiać mundurów galowych dla oszczędności. Niektóre zarządy cywilne, np. jak kontrola państwowa, które wypadkiem wprowadziły u siebie wspaniałe i drogie mundury, będą zrównane z innymi.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

Przed paru laty w Lublinie przy ulicy Bury Jezuickie powstało boisko Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", tzw. Dynasy Lubelskie. Boisko posiada doskonałe korty tenisowe, bieżnię, boisko do gry w piłkę nożną, tor dla cyklistów oraz bardzo dużo różnych urządzeń pomocniczych dla sportowców. Tymczasem wszystkie zawody odbywają się zawsze z małymi wyjątkami albo na boisku W.K.S. „Unia" albo na boisku A.Z.S. na ul. Lipowej, zaś boisko „Sokoła" bywa ignorowane. Czemu to przypisać?

•

Na Krakowskim Przedmieściu koło Banku Polskiego i koło Banku Związku Spółek Zarobkowych istnieją ogródki a właściwie ogródkowe trawniki, w których absolutnie nic oprócz pożółkłej trawy nie rośnie. Trawniki te zajmują poważną część chodnika, tak że w tych miejscach, gdzie one są, tworzą się zatory, zwłaszcza w dnie, kiedy wzmożony jest ruch spacerowiczów. Ludziska wchodzą po prostu na siebie, muszą schodzić niejednokrotnie na jezdnię. Może władze miejskie zajęłyby się tą sprawą i przyczyniły do ich usunięcia, wydadem swym nie upiększają one miasta a za to przeszkadzają w chodzeniu zmniejszając znacznie chodniki.

•

Jest w Lublinie rzeczka, a właściwie ściek okropnie brudny, do którego spływają wonności z różnych ścieków i kanałów. Czechówka przecina ulice Lubartowską i płynie koło jatek i targu przy ulicy Ruskiej, zatruwając powietrze. Czyżby nie dało się coś zrobić z tą wspaniałą rzeką, żeby choć w części zmniejszyć „miłą i zdrową" woń, jaką ze swych fal wydziela?

„Głos Lubelski"

Wybrała Anna Orzechowska

Kèpes Gèza

PYŁEK KWIATOWY

taka
głęboka
ta
cisza
że
już
prawie
dusząca

na dnie
morskie oko
leży
niemy
ucisk –
już
nigdy
nie wyskoczy
w górę

wielki
żółty
kwiat
rozkwita:
w bezbrzeżnym
niebie
wyrasta
płatek
bezbłędne
koło –

wiatr
roznosi
rozsiewa
promieniujący
pyłek kwiatowy
przez
głuchoniemy
świat

Morze Czarne

Z węgierskiego przełożył
Paweł Gembal

Jan Stanisław Stefaniak

JEJ

Tędy jeszcze szłaś, jeszcze ciepłe ślady
I w moim sercu, i w przedmiotach żyją.
Tamtą linię przebrnąłem – ty nie dałaś rady
I z innej studni dzisiaj wodę pijesz.

A moją studnią dopiero mi wiercą.
Głąb bezgłębna, w niej talar – liść klonu.
I rzecz ostatnia zda się rzeczą pierwszą,
Choć rzecz pierwsza ostatnią wydaje się komuś.

Nie pytaj o dostatki, nie pytaj o trunek –
Wszak nic po słowie, skoro słowa nie ma.
Nie to samo u ciebie, choć jednako u mnie.

W osadzie dna pozostał nie skończony temat
Jak w niedopitej szklance łyk gorzkiego rumu.
I sens miłości. Czego nie zrozumiesz.

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Strofy nad Uherką

OILE lubelskie środowisko poetyckie nazywało się (niezbyt precyzyjnie) parafią księdza Zalewskiego, o tyle chełmskie szkołą KAJ-a. „Pryzmaty" — młoda grupa poetycka — powstała i rozwijała się pod okiem najpierw polonisty gimnazjum Czarnieckiego, później założyciela „Kameny". „Pryzmaty" same w końcu się rozczepiły — zwykły los wszelkich ugrupowań ludzkich — jeden Czesław Twardzik pozostał w Chełmie, by stać się niezastąpionym chorążym chełmskiej tradycji poetyckiej.

Na tle rozchełstania współczesnej poezji, kryjącej niekiedy namiastkę i pozór, nuta Twardzika imponuje konsekwencją. Tradycjonalistyczna, konserwatywna, rzetelna. Tym tradycjonalizmem i tym konserwatyzmem, które polegają nie na pozostaniu w tyle czasu, ale na wierności sobie, choćby niewierność profitowała spektakularniejszymi efektami.

Przepraszam za pierwszą osobę liczby pojedynczej, ale przy Czesławie nie mogę jej pominąć: lubię tę nutę. Jakbym ją nazwał? Liryzmem rubasznym. Dlaczego rubasznym? Przecież ten przymiotnik przywykło się rozumieć w sensie pejoratywnym. Ale sam Twardzik przy całym swoim tradycjonalizmie miałby mi za złe, gdybym poszukując określenia dla jego poezji ugiął się przed konwencjonalnym rozumieniem słów. Zresztą niech będzie, że się ugnę: więc jest to liryzm rejowsko-rabelaisowski. Przyprawiony domieszką humoru (wszak Twardzik jest również satyrykiem), zmodyfikowany tą szczypią soli attyckiej, która jest potrzebna do ukrycia uczuć. Osobliwe: wstydliwość uczuć to termin Peipera, czyżby więc tradycjonalista Twardzik był awangardowy?

Humor liryczny ma również na celu przybliżenie rzeczy do zwykłych odczuwań ludzkich. Ani śladu metafizyki. Twórczość Twardzika nie penetruje obszarów w których zamieszkują sprawy nazywane ostatecznymi. Na „ostateczne" jest zawsze czas. Na razie jest bez, noc księżycowa, słowik, Beethoven. Wystarczy. Wystarczy życia ludzkiego, by zgłębić niezgłębioną tajemnicę zawartą w najprostszych zjawiskach. I ten jeden nieustannie powtarzający się motyw, jak poszukiwanie frazy muzycznej w szeregu ponawianych wariantów: humorem, niedomówieniem, pozorną rezygnacją trafić w ukryty nerw rzeczy. Niech wyzwoli poezję.

Umiłowanie przyrody to określenie zbyt banalne, by mogło scharakteryzować jakąkolwiek twórczość, ale jakiś bliskoznaczny termin powinien się znaleźć. Twardzik dla tego wszystkiego, co pochodzi z ziemi znalazł w swoich wierszach gościnę. Również dla tego, co pochodzi z topografii. W tych strofach słychać plusk Uherki. Mój Boże, nasłuchawszy się tyle o tej Uherce (naprawszający się rym do serca i rozterki) zapragnąłem ją kiedyś zobaczyć. Zobaczyłem cienką nitkę strumyczka aż dziw, że wystarczającą do wyhaftowania poetyckiego pejzażu. Ale jeśli wizyjna sceneria „Opowieści o papierowej koronie" Czechowicza znajduje się w Słobódce, o której Konrad Bielski (czy jednak na podstawie autoposji?) wspomina, że była ubogą i zapuszczoną wioszczyną, nie dziwmy się, że wymieniony strumyczek awansował do roli chełmskiej Wisły nie tylko zresztą w wierszach Twardzika.

Jest satysfakcją znaleźć się w Chełmie i spędzić kilka godzin na rozmowie o poezji, muzyce, książkach, kwiatach, gwiazdach. Przejść się „górką", by następnie spłynąć pieszym slalomem w wąwóz ulicy Lubelskiej. To pozostałość dawnych czasów. Młodzi popędzani dyskotekami i biesiadami tego nie znają. Czy zresztą znaleźliby w tym smak? Twardzik to trochę takie Soplicowo do którego się przyjeżdża odetchnąć pięknym słowem polskim. Tuwimem. Lechoniem. Jasnorzewską-Pawlikowską. Po odprężenie, które nie polega na zaniechaniu zajęcia, ale na pozbyciu się stresów współczesnego życia literackiego. Niech tam sobie gdzieś huczą redakcyjne młyny, niech się mylą i wymądrzają recenzenci, niech pęcznieją metafory napompowywane pustką — tu trwa horacjańska godzina. Szczególnie, gdy się ma tyle do wspominania. Tyle wspólnego życiorysu z miastem, w którego herbie brunatny niedźwiedź nieśpiesznie przesuwa się między drzewami.

Co do mnie, oczekuję od Twardzika wspomnień.

Zygmunt Mikulski

Czesław Twardzik: „Grawitacje", Wydawnictwo Lubelskie, 1979, st. 68, cena 19 zł.

Już w chwili oddania „Kameny" do druku nadeszła z Chełma bolesna wiadomość: Czesław Twardzik zmarł 10 września 1979 r. Niestety, wspomnień już nie będzie.

SOPOT 79

Istvan Grabowski

FESTIWAL Interwizji od trzech lat stanowi główną atrakcję kanikuły artystycznej na Wybrzeżu. Do Sopotu niczym do estradowej Mekki ściągają z całego kraju niezliczone tłumy żądnych wrażeń i artystycznych niedyskrecji wielbicieli piosenki — tych prawdziwych i tych snobistycznych. Bursztynowy kurort upodobali sobie również zagraniczni turyści, kibicujący wiernie reprezentantom własnych krajów. Wprawdzie tegoroczne lato nie rozpieszczało nas pogodą, a słoneczne dni zjawiały się jakby w prezencie, to zrządzeniem losu trzeci mityng interwizyjny miał pogodę, o jakiej można było marzyć. Słoneczny optymizm towarzyszący tłumom oblegającym plaże i molo, udzielał się również na scenie amfiteatru Opery Leśnej. Było tam barwnie, wesoło i przyjemnie.

Sprawdzona para konferansjerska Irena Dziedzic — Jacek Bromski stanęła na wysokości zadania, błyszcząc dowcipem i elokwencją, orkiestry Güntera Gollascha i Zbigniewa Górnego grały doprawdy wybornie, a scenografia Teresy Zygadlewicz i Jerzego Baducha kokietowała zarówno widzów Opery Leśnej, jak i siedzących w domowych pieleszach telewidzów (zwłaszcza zaś posiadaczy barwnych odbiorników). Dla osiągnięcia pełnego szpanu (tego wymagała gala festiwalu nagrodzonego przez organizację FIDOF) sprowadzono do Sopotu kilku prawdziwych ulubieńców publiczności — Alle Pugaczową, Grace Kennedy, Billie Davis, Dagmar Frederic, Urszulę Sipińską, Andrzeja Rosiewicza, Demisa Roussosa i grupę Boney M. Gwałtowne zderzenie tylu sław i to w przeciągu zaledwie czterech dni musiało spowodować same „ochy" i „achy". Zwłaszcza wygłaszane przy komentowaniu barwnego show murzyńskiej grupy Boney M — jednego z najpopularniejszych zespołów świata. Popisy czekoladowej czwórki wokalistów poparte wspaniałą pracą niesamowicie ekspresyjnej maszyny rytmicznej „Black Circus" wywołały uzasadnione zachwyty publiczności. Ich piosenki „Ma Baker", „Daddy Cool", „Belfast", „Sunny" czy „Brown Girl in the Ring" mogły uchodzić za przykład dobrej roboty estradowej pomysłowego szefa Hansy-Franka Fariana.

Laureatka II nagrody w Konkursie Interwizji, węgierska piosenkarka Zsuzsa Cserhati

Gdyby ograniczyć się wyłącznie prezentacji zaproszonych gwiazd, Festiwal Interwizji byłby bezsprzecznie najciekawszą imprezą estradową, jaką zorganizowano u nas na przestrzeni ostatnich lat. Niestety oprócz wykwintnego deseru otrzymaliśmy jeszcze dwa inne dania w postaci konkursów ośrodków telewizyjnych i firm płytowych, a te wypadły o wiele gorzej. Tradycją już stały się prezentacje świetnych głosów, zyskujących z miejsca akceptację jurorów. W tym roku, o dziwo, takich głosów zabrakło. Poza znakomitą Bessy reprezentującą grecki Polygram, Czesławem Niemenem i Margaritą Hranovą, którzy istotnie fascynowali swym kunsztem wokalnym, nie było w Sopocie wykonawcy godnego festiwalowej rywalizacji o laur „Grand Prix". Mówiąc obiektywnie czułem się mocno zawiedziony miałkością muzycznych propozycji, mało ciekawymi aranżacjami utworów i ubożuchnymi głosikami niemalże większości uczestników. I pomyśleć, że na sopockiej scenie śpiewali niegdyś Karel Gott, Conchita Bautista, Muslim Magomajew, Farida, Tereza Kesovija, Stan Borys i Jose Velz! W konfrontacji bezpośredniej z nimi tegoroczni goście musieliby płonąć permanentnie ze wstydu. Nie dziwię się przeto decyzji jury nagradzającego z braku lepszych kandydatur tych wszystkich, którzy w ostatecznym rachunku potrafili coś z siebie wykrzesać. Oczywiście w innych warunkach nagrody co poniektórych laureatów budziłyby poważne kontrowersje. Przykładem tego choćby hiszpańska grupa Red de San Luis, wyróżniona aż I nagrodą. Czwórka młodych ludzi świetnie tańczyła w dyskotekowym i, przyznam, chwytliwym rytmie, ujawniając niemały temperament i nerw sceniczny. Cóż z tego, kiedy brakowało im pełnych, czystych głosów i choćby cienia oryginalnego pomysłu melodycznego. Kto nie jest przekonany, niech spróbuje zanucić „ad hoc" nagrodzone „Byki w Meksyku", czy „Sambę Lady". Nie był to zresztą tylko grzech Hiszpanów. Dyskotekowe ciągoty, nie poparte, niestety, głosem, zdradzała połowa uczestników konkursowych zmagań. A przecież nie od dziś wiadomo, że muzyka disco nastawiona na wybijanie rytmu, nie wymaga od wykonawcy zbyt wielkich umiejętności. Czasem wystarczy być mniej niż przeciętnym wokalistą, ale za to mieć zmysł tańca (vide Bobby Farell z Boney M.), by zyskać pełną akceptację słuchacza-widza.

Przyznam, iż byłem zdziwiony (zresztą nie tylko ja) kiedy Czesław Niemen — muzyk dojrzały i wielokrotnie nagradzany zgłosił swą kandydaturę do konkursu ośrodków telewizyjnych. Wielcy artyści unikają z reguły konkursowej rywalizacji. Niemen nie tylko nie zawahał się wystąpić w konkursowych bojach (niosących jakby nie było pewne ryzyko), ale potraktował występ ambicjonalnie. Przygotował dwa utwory (nie piosenki) o bogatej fakturze instrumentacyjnej, odbiegające wprawdzie od przyjętego kanonu muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej, ale jednocześnie przewyższające inne konkursowe produkcje o kilka klas. Obstawiony wokół baterią instrumentów klawiszowych, Niemen śpiewał ciepło i lirycznie teksty Iwaszkiewicza i Michałkowa. Nie atakował frazy krzykiem, nie wprowadzał orientalnych melizmatów. Był na pozór zwyczajny, a jakże inny, tajemniczy, intrygujący pięknem muzyki. Już w chwili występu byłem przekonany, że będzie to jedna z głównych nagród. W tym przypadku jury w pełni solidaryzowało się z odczuciami słuchaczy, przyznając Niemenowi „Grand Prix" za wybitne walory muzyczne i interpretacyjne utworu „Nim przyjdzie wiosna". Jednocześnie publiczność, zarówno ta sopocka, co i zasiadająca przed telewizorami, nagrodziła go najcenniejszym podarkiem — pięknym jachtem „Dalmoru". Myślę, że jest to odpowiednie i w pełni zasłużone uhonorowanie 17-letniego dorobku konsekwentnego artysty, który nigdy nie zrezygnował z wysokich ambicji i nie starał się kokietować publiczności efektami taniej sztuki. Bardzo dobrze wypadła laureatka drugiej nagrody — Węgierka Zsuzsa Cserhati, choć, szczerze przyznam, słyszałem w jej wykonaniu lepsze piosenki i byłem poniekąd zaskoczony doborem właśnie takiego repertuaru. Słowa uznania należą się też zdecydowanie najatrakcyjniejszej piosenkarce tegorocznego mityngu — ciemnoskórej Patti Boulaye z Wielkiej Brytanii. Doskonałe, pełne finezji wyczucie frazy, ciekawy głos i swoboda, z jaką interpretowała konkursowe szlagiery (jeden grupy Bee Gees) zapewniły jej nie tylko serdeczne przyjęcie długo wiwatującej publiczności, ale i I nagrodę w konkursie płytowym.

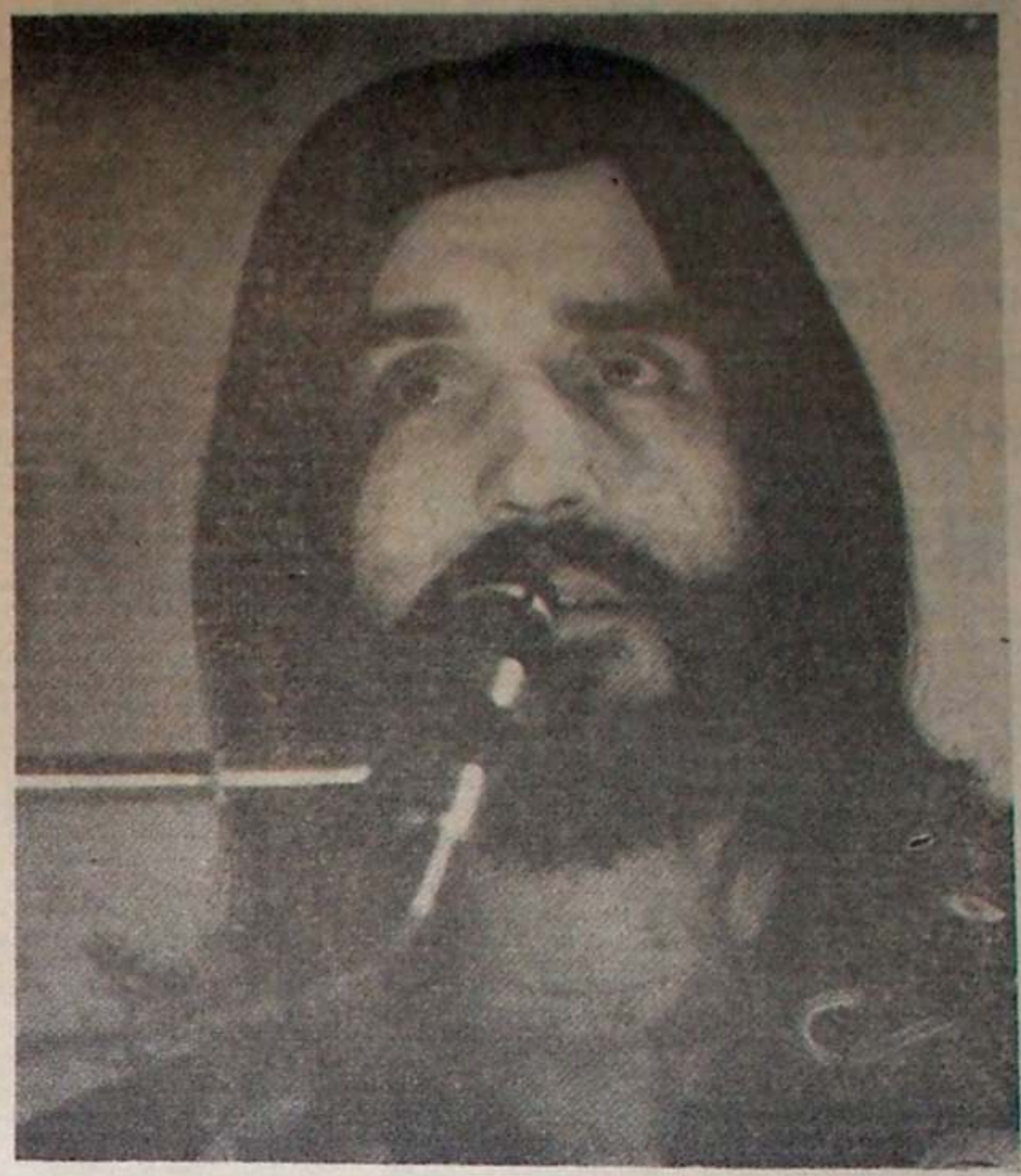

Laureat Grand Prix Interwizji i Nagrody Publiczności — Czesław Niemen

Czytelnicy pamiętają zapewne doskonale, jaką burzę wywołała przed dwoma laty opolska prezentacja piosenki „Kolorowe jarmarki". Wyżywał się wtedy na niej kto chciał, odsądzając twórcę, a zarazem wykonawcę Janusza Laskowskiego od czci i wiary. Niektórzy tylko zachowali spokój i oni, jak się okazuje, mieli rację. Piosenka Laskowskiego stanowi ewenement w krajobrazie polskiej estrady i materiał na stuprocentowy szlagier. Potwierdziło to aż nadto dwukrotne uznanie sopockiego jury. Dwa lata temu Maryla Rodowicz wyśpiewała „Kolorowymi jarmarkami" główną nagrodę, a w tym roku podobnego wyczynu dokonała świetna skądinąd Margarita Hranova z bułgarskiego Bałkantonu. Jej żywiołowa interpretacja dodała piosence nowych blasków, czyniąc z niej ponownie aktualny przebój. Należałoby w tym miejscu dodać przy okazji, iż Bułgarzy niemal co roku przysyłają do Sopotu znakomitych wokalistów. Niestety opinii tej nie można odnieść do reprezentantów Czechosłowacji, choć przed dwoma laty triumfowała tu Helena Vondračkova. Nieciekawa, a w dodatku szarżująca głosem Petra Janu była przykładem jak nie należy śpiewać, jeśli nie chce się popaść w manierę.

Słów kilka o polskich artystach na festiwalu. W branży estradowej od lat funkcjonuje przekonanie, że Sopot stanowi nasze okno na świat. Dzięki niemu można ponoć wylansować niejeden talent. To oczywiście utopia, ale niech tam myślą sobie spece od rozrywki co chcą. Jeśli miałoby tak być w istocie, to skoro zapraszamy doń renomowane gwiazdy, winniśmy sami dokładać wszelkich możliwych starań, by polska ekipa na festiwalu prezentowała się atrakcyjnie, by była doskonała pod każdym względem. Organizatorzy imprezy znają te uwagi nie od dziś, a mimo to, może na przekór temu, wystawiają wykonawców nie zawsze najwyższego lotu. Pomijam w tym wypadku wspaniałego Niemena. Wydaje mi się jednak, że propozycja reprezentowania naszej fonografii przez jazzującą Hannę Banaszak, tudzież wciskanie na siłę publiczności recitali Urszuli Sipińskiej i Andrzeja Rosiewicza (jak często można?) nie było najszczęśliwszym posunięciem taktycznym. W końcu nasza estrada nie kończy się na Rosiewiczu, który notabene, popadł już w niezdrowy manieryzm i autoplagiat.

Każdy, kto choć raz odwiedził Sopot w okresie festiwalowej gorączki, wie doskonale, że festiwal to nie tylko konkursowe boje w amfiteatrze Opery Leśnej. Towarzyszy im zwykle kilka ciekawych imprez, przykuwających uwagę wczasowiczów Trójmiasta w sposób równie intensywny. W tym roku odbyło się sporo interesujących, z pewnością znaczących dla rozrywki prezentacji. Na kilka dni przed festiwalem w gmachu Ekonomiki Transportu Uniwersytetu Gdańskiego otwarto międzynarodową wystawę INTERMUSICA 79. Eksponowano na niej sprzęt elektroakustyczny i muzyczny, płyty gramofonowe i kasety magnetofonowe, wyposażenie dyskotek i studiów telewizyjnych, a nawet instrumenty kilkunastu czołowych firm świata m. in. amerykańskiego producenta słynnego syntezatora „Mooga". Wystawa spotkała się z ogromnym zainteresowaniem i zasługuje na powtórzenie (oczywiście w szerszej formie) w przyszłym roku. Drugą nie mniej ciekawą imprezą był konkurs telewizyjnych programów rozrywkowych rywalizujących o Bursztynową Antenę. W tym roku (konkurs przeprowadzono po raz trzeci) otrzymały ją telewizja radziecka i polska, co jest dla nas niemałym wyróżnieniem zważywszy fakt zgłoszenia nadzwyczaj urozmaiconego repertuaru bardzo dobrych programów. Uzupełnieniem piosenkarskich popisów zagranicznych gości były znakomite koncerty Ewy Demarczyk, Marka Grechuty i wykonawców z kręgu piosenki studenckiej (Adamiak, Wojnowska, Wolek, Pod Budą, Nasza Basia kochana, Wały Jagiellońskie) przedstawione do oceny spragnionych dobrej rozrywki gości Trójmiasta.

III Festiwal Interwizji nie był imprezą najwyższego lotu, imprezą, która wpisałaby się w kronikach artystycznych. Obok niewątpliwych atrakcji, a takimi były świetne występy Pugaczowej, Roussosa i Boney M., objawiło się sporo (może za dużo?) pomyłek organizatorów i jurorów we właściwym doborze kandydatów do konkursu, a następnie nagradzaniu konkursowych wykonawców. Warto jednak odnotować wielce pozytywne zjawisko. W odnowionej, interwizyjnej formule Sopot nabiera coraz żywszych barw, stając się z roku na rok imprezą bogatszą i bez wątpienia ciekawszą. Miejmy zatem nadzieję, że za rok przyjdzie nam podziwiać galerię najciekawszych postaci estradowego świata, czego wszystkim obserwatorom festiwalu i sobie życzę.

Kamena str. 13

Złoto dla „Amatora" na XI MFF w Moskwie

NIEDAWNO zakończony, trwający od 14 do 28 sierpnia, XI Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Moskwie odbywał się pod hasłem „O humanizm sztuki filmowej, o pokój i przyjaźń między narodami". Był imprezą ogromną: uczestniczyli w nim przedstawiciele 104 krajów, reprezentowana była na festiwalu Organizacja Narodów Zjednoczonych, UNESCO, Organizacja Wyzwolenia Palestyny, Front Patriotyczny Chile. Przybyli do Moskwy liczni aktorzy, światowej sławy reżyserzy filmowi, m. in.: Francis Ford Coppola, Juan Antonio Bardem, Giuseppe de Santis, Miklos Jancso, Christian-Jaque, Andrzej Wajda...

Do samego tylko konkursu filmów fabularnych zgłoszono 35 pozycji. Poza tym odbywał się jeszcze konkurs filmów dokumentalnych i konkurs filmów dla dzieci i młodzieży. Działały trzy odrębne składy jury: pod przewodnictwem Stanisława Rostockiego, Aleksandra Zguridi oraz Anatola Aleksina. Oprócz tego w dniach Festiwalu odbywał się wielki międzynarodowy „film-market" — targi filmowe, które miały odrębne pokazy i gdzie główną rolę odgrywali dystrybutorzy i handlowcy. Wreszcie — szereg krajów wystąpiło z pozakonkursowymi pokazami filmowymi, odbywającymi się w ramach tzw. sekcji informacyjnej. Gości festiwalowych, obserwatorów i dziennikarzy było około 1500, od Japonii przez Indie, Gabon, Nigerię, Wenezuelę, Meksyk aż po Stany Zjednoczone: w hotelu „Rossija", gdzie mieściły się kwatery festiwalowych gości i gdzie odbywała się większość pokazów konkursowych, można było spotkać ludzi ze wszystkich zakątków świata. W tym różnojęzycznym tłumie znalazł się również autor rubryki „Ekran i widz"...

Tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Moskwie miał charakter szczególny: odbywał się on w okresie obchodów w ZSRR 60 rocznicy powstania radzieckiej kinematografii. W przeddzień zakończenia festiwalu, 27 sierpnia, po raz pierwszy obchodzono uroczyście Dzień Kina Radzieckiego ustanowiony mocą specjalnej uchwały podjętej przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRR 25 kwietnia 1979 r.

Właśnie 27 sierpnia 1919 r. Lenin podpisał słynny „Dekret o przejściu fotograficznego i filmowego handlu i przemysłu pod Zarząd Ludowego Komisariatu Oświaty". Położone wówczas zostały fundamenty nowej, wielkiej kinematografii; w kilka lat później miała się ona objawić światu „Pancernikiem Potiomkinem" Sergiusza Eisensteina, „Matką" Wsiewołoda Pudowkina, „Ziemią" Aleksandra Dowżenki i innymi filmami, które wprowadziły kino światowe w rejony Sztuki.

Dzisiaj kino radzieckie znajduje się w ścisłej czołówce najpotężniejszych i najbardziej znaczących kinematografii świata. W trzydziestu dziewięciu wytwórniach filmowych rozsianych na terenie Związku Radzieckiego powstaje co roku 150 pełnometrażowych filmów fabularnych dla kin i ponad 100 fabularnych filmów telewizyjnych. Produkuje się ponad 1200 filmów dokumentalnych oraz około 100 filmów rysunkowych. W 230 tysiącach kin ZSRR zasiadają w ciągu roku przed ekranem 4 miliardy widzów... Mówi o tym wszystkim w sposób bardzo spektakularny specjalna wystawa poświęcona 60-leciu kina radzieckiego, która eksponowana jest w ogromnym, czterokondygnacyjnym pawilonie na terenie słynnej moskiewskiej „We-de-en-cha" — „Wystawki Dostiżenij Narodnowo Choziajstwa" stałej wystawy osiągnięć gospodarczych, przemysłowych i naukowych Związku Radzieckiego.

Ale o tym szczegółowo w następnych numerach „Kameny". Na razie — prosto z samolotu Moskwa — Warszawa — sprawozdawca „Ekranu i Widza" spieszy donieść Czytelnikom przede wszystkim o polskim sukcesie moskiewskiego festiwalu. Sukcesie wielopłaszczyznowym, którego ukoronowaniem stało się przyznanie pierwszej nagrody filmowi reżysera Krzysztofa Kieślowskiego — „Amator". Dwie równorzędne pierwsze nagrody, Złote Medale, w konkursie filmów fabularnych otrzymały: włoski film „Chrystus zatrzymał się w Eboli" Francesco Rosi oraz film światowej sławy hiszpańskiego reżysera Juana Antonio Bardema — „7 dni w styczniu". Przyznana dodatkowo Kieślowskiemu nagroda FIPRESCI — (światowej federacji krytyki filmowej) dodaje jeszcze blasku złotemu medalowi, który otrzymał polski „Amator".

Kolejnym polskim sukcesem był fakt przyznania Jerzemu Kawalerowiczowi (nb. wszedł on w skład międzynarodowego jury konkursu filmów fabularnych) nagrody komitetu organizacyjnego XI MFF w Moskwie, w związku z 60-leciem kinematografii radzieckiej. Nagrodę tę otrzymał twórca „Celulozy", „Faraona" i „Śmierci prezydenta" jako jeden z tych filmowców zagranicznych, którzy wnieśli wybitny wkład w światową sztukę filmową. Wielkim powodzeniem wśród młodej publiczności cieszyły się „Przygody Bolka i Lolka". Z filmów pokazanych w sekcji informacyjnej największe zainteresowanie wzbudziły „Panny z Wilka" Andrzeja Wajdy. Na koniec: w bogato ilustrowanej codziennej gazecie festiwalowej „Sputnik kinofestiwala" ukazującej się w czterech wersjach językowych, pełno było polskiej tematyki: obszerne sylwetki Barbary Brylskiej i Daniela Olbrychskiego, wywiady z tymi aktorami, wywiady z Jerzym Kawalerowiczem i Krzysztofem Zanussim, bardzo dobra recenzja „Amatora" — następnego dnia po projekcji polskiego filmu...

„Amator" Krzysztofa Kieślowskiego dopiero wejdzie na polskie ekrany. W jego prapremierze miałem możność uczestniczyć w końcu czerwca br. w Łagowie podczas Lubuskiego Lata Filmowego, zdobył on wtedy duże uznanie polskich widzów. W Moskwie okazało się, że historia bohatera „Amatora" — młodego człowieka, któremu pasja kina pozwalała dojrzeć wewnętrznie, określić się wobec świata i wobec sztuki, że ta historia znalazła gorący odźwięk również wśród międzynarodowej, festiwalowej publiczności.

M. D.

Kpina ze schematów

NA temat oczekiwanego przez polskich widzów filmu pt. „Niezamężna kobieta" padło już ze strony krytyki filmowej kilka zdań tak nieprawdziwych, że od razu ustawiły one proporcje nie tylko w nieporządku, ale wprost odwrotnie. Najsmutniejszym tego rezultatem jest anonsowanie filmu jako dramatu psychologicznego. Włączono go również. I trudno o większe nieporozumienie, w cykl filmów podejmujących poważnie najgłośniejszy dziś temat rozważań obyczajowych, czyli kwestie wyzwolenia kobiety i tego wyzwolenia konkretnej realizacji. Toteż tłumy widzów idą na „Niezamężną kobietę" z całym poważaniem dla obrazu, a że oglądają dramat, jak z życia wzięty, powaga widowni wzrasta w miarę piętrzenia się filmowych komplikacji.

Reżyser Paul Mazursky został przez naszą krytykę (M. Pawlukiewicz: „Czego szuka kobieta?", Kultura 34) posądzony o „świeży, bogaty w żywo uchwycone obserwacje paradokumentalny niemal zapis powyższej sytuacji". Nie dziwnego, że przeciętny widz traktuje film poważnie. Mazursky rzeczywiście dokonał w materii kina amerykańskiego zabiegu świeżego, ale nie polega to na „paradokumentalności, czy innym niby—realizmie. Prezentuje on film, w którym bohaterowie, całkiem odmiennie niż w hollywoodzkiej manierze, nie rozbijają się samochodami (ba, nawet nie mają własnego auta), nie palą papierosów i nie myją się. Tak, nie ma w tym filmie ani jednej sceny kąpieli, prysznicu, nie ma więc pian i golizny w łazience. Nie ma też tradycyjnych scen „położkowych" z zapaleniem papierosów itp. Lecz to wszystko nie jest maniera nowej propozycji tylko zwykłym ośmieszaniem dotychczasowych stereotypów. Każdy kadr jest precyzyjnie konstruowany i jeśli faktycznie mnóstwo dzieje się na drugim planie, bo dużo tam ruchu ubocznego, niby przypadkowych wejść na ulicę, do biura, restauracji itp. to nie w celach paradokumentalnych, lecz znów dla śmiechu i komicznych smaczków.

Prawda jest bowiem taka, że mamy do czynienia nie z dramatem psychologicznym, lecz z komedią i to podstępnie wyrafinowaną, bo nie są śmieszne dowcipy, ale to, co na ekranie dzieje się poważne.

Współczesne filmy zachodnie o zdradzie w małżeństwie, o miłości, o wiecznym szukaniu uczuć prawdziwych i w ogóle „o życiu" stworzyły nowe, całkiem świeże schematy. Nie tak prymitywne, jak w latach poprzednich, ale równie już powszechne. Do schematów użyły bohaterów z tzw. klasy średniej. Tam najłatwiej lęgną się stereotypy i przedstawiciele takiego „ludu" również łatwo weszli w szablony ekranowe. Powstały więc szablonowe postacie, stereotypowe komplikacje, schematyczne sposoby filmowania i konstruowania całości. W takim „pasztecie" toczy się dyskusja na poważne tematy, której Mazursky miał najwyraźniej dość i ułożył parodię filmowych roztrząsań „spraw życiowych".

Mazursky kpi nie tylko ze sposobu pokazywania uczuć, przeżyć, dramatów ludzkich, ale nawet z rekwizytów—akcesoriów przypisanych postaciom. Genialne w karykaturze są sceny z pelerynką bohaterki, z kubeczkiem lodów, z gigantycznym obrazem, wyrzucanymi rzeczami męża itp. Równie śmieszne są parodie na temat wyznania zdrady, porady psychoanalityka, przegranej samca supermena, wyznań miłosnych artysty itp. A jeśli ktoś się w tym nie połapie, od razu ma na otrzeźwienie scenę na ślizgawce, jak z „Love story".

Kino, które jest rejestratorem najwybitniejszych powszednich problemów człowieka, znalazło bohatera w klasie średniej. Oba wyznaczniki jakoby upoważniły wielu producentów do zapełniania kilometrów taśmy, na której podsuwa się widzowi, również ze średniej klasy, trudne sprawy w rozwiązaniach tak banalnie ckliwych lub zalganych, jak teksty piosenek. Ludzie mają uwierzyć, że poważne sprawy rozwiązuje się szybko, jak to robią postacie z komiksowych seriali, lub prostackich fabułek, bądź, że te problemy przerastają średniego człowieka. Niech widz myśli, że kino myśli za niego — oto propozycja masowej „dyskusji", rozgrywanej na ekranach. Producenci codziennie tworzą postacie schematyczne, papierowe, bez umiejętności refleksji. Mazursky parodiuje nową falę, amerykański niby—autentyzm, romanse w stylu „Love story", seriale telewizyjne, co wszystko razem posiało stereotypy nie tylko w wytwórniach, bo i na widowniach.

W dodatku masowa produkcja udaje całkowitą powagę w podnoszeniu znaczących problemów. Film Mazursky'ego demaskuje tę powagę ze świadomą kpiną, obłudnie stwarzając pozór prawdziwości buntów, łez, głębokich spojrzeń i wagi słów padających z ekranu.

Jeśli jest tak, że sztuka z reguły pierwsza wypełnia luki i pustki powstające w życiu, to Mazursky ujawnił, iż życiu brakuje rozsądku, by masową filmową dyskusję o sposobach wyzwalania się kobiet, o nieprzeciętności, której broniła mężczyźni, o małżeńskim swobodnym erotyzmie na pierwszym planie, o nieskrępowaniu obyczajowym młodzieży itp. obnażyć bezlitośnie poprzez ukazanie tej dyskusji schematyzmu i udawania. Wszystko śmiechu warte w takiej dyskusji, oprócz oczywiście faktu, że te problemy są naprawdę ważne.

Postacie z „Niezamężnej kobiety", jak już zostało powiedziane pochodzą z amerykańskiej klasy średniej, dla której świat wionie szarzyzną odkąd przycichła wojna w Wietnamie i Czarne Pantery. Mazursky kpi z ekranowej middle—class okrutnie i pokazuje, że filmy tworzą postacie kobietek głupszych niż hasła, które głoszą i że męska część postaci również w otumanieniu nic nie potrafi zrozumieć. U Mazursky'ego ta głupota jest śmieszna, owszem, ale o ileż śmieszniejsze, że kawał się udał i nawet nasi, sceptyczni na ogół, krytycy poważnie go wzięli. Ciekawe też czy wszyscy?

B. K.

Kamena str. 14

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

NIEWIELE dni dzieli nas od inauguracji nowego sezonu koncertowego Filharmonii Lubelskiej. Tymczasem trwają koncerty Lubelskiego Września Muzycznego, drugiej — obok Nałęczowskiego Divertimento — imprezy typu festiwalowego, prezentującej w niedługim stosunkowo czasie znane zespoły i solistów w interesującym, zróżnicowanym repertuarze. Dość wspomnieć choćby Kameralny Zespół Muzyki Dawnej i Współczesnej Filharmonii Leningradzkiej (z *Verklärte Nacht* Schönberga), Con Moto ma Cantabile pod dyrekcją Marka Szwarca (w programie Vivaldi i Leclair) czy Petera Zazofsky'ego (ze świetnym pianistą Scottem Faigenem), by zorientować się, że każdy meloman odnajdzie tu coś bliskiego swemu sercu. Ukoronowaniem zaś Września Muzycznego, a zarazem oficjalną inauguracją tegorocznej działalności filharmoników będzie *Wielka Msza c-moll K. V. 427* Mozarta (Delfina Ambroziak, Maria Olkisz, Krzysztof Molęda, Adam Szybowski, Chór UMCS przygotowany przez Jadwigę Czerwińską, orkiestra PFL, dyryguje Adam Natanek). Formy oratoryjno—kantatowe, owe *chevaux de bataille* dyrektora Natanka, reprezentowane będą przez *IX Symfonię d—moll* Beethovena, *Pasję Mateuszową* Bacha (cały zespół wokalny i dyrygent z NRD, orkiestra PFL), *L'enfance du Christ* Berlioza (co by nie powiedzieć o kompozytorze, rzadko mamy okazję posłuchać jego dzieł wokalnych) oraz *Juditha triumphans* (święto dla kochających Vivaldiego).

Program pierwszych trzech (właściwie czterech miesięcy nadchodzącego sezonu rysuje się w ogóle niby renomowane *Festwochen*. Bo oto ledwie przebrzmią ostatnie tony Lubelskiego Września Muzycznego, a już rozpoczynają się przesłuchania Międzynarodowego Konkursu Młodych Skrzypków, inaugurowane występem Romana Totenberga (*Koncert d—moll* Wieniawskiego), a zamykane prezentacją laureatów. W ciągu trzech kolejnych wieczorów Wanda Wilkomirska i Tadeusz Chmielewski wykonają kompletny cykl 10 sonat na skrzypce i fortepian Beethovena — gdzie można usłyszeć je *wszystkie*? Niedługo potem recital chopinowski Elżbiety Karaś—Krasztel, Piotr Paleczny w *Koncercie f—moll* Chopina, dwa koncerty Beethovena: *C—dur* (Janusz Olejniczak) i *Cesarski* (Kazimierz Morski, dyrygujący od fortepianu jak Barenboim czy Aszkenazi), *Koncert G—dur K. V. 453* Mozarta w wykonaniu Lidii Grychtołówny, jeszcze raz Paleczny *Fantazja polska* Paderewskiego). Dwie symfonie Mozarta — *Es-dur K. V. 543* i *g—moll K. V. 551 „Jowiszowa"*, *IX symfonia* Beethovena, *Koncert na sopran i orkiestrę* Gliera (z laureatką z Hertogenbosch, Antoniną Kowtunow—Wysoczyńską), *Symfonia Pieśni Żałobnych* Góreckiego (ze Stefanią Woytowicz) uzupełniają tę arcyciekawą listę.

W grudniu zaś oczekują nas obchody jubileuszu XXXV-lecia lubelskiej Filharmonii, pierwszej instytucji muzycznej w odrodzonej Polsce. Wystąpią więc soliści i zespoły kameralne PFL (m. in. Bohdan Giergiel, Trio Stroikowe, Kwintet Fortepianowy), a punktem kulminacyjnym będzie estradowe wykonanie *Strasznego dworu*, opery nie tylko interesującej pod względem czysto muzycznym, ale i zalecającej się patriotycznymi walorami libretta (Irena Świątek, Maria Olkisz, Bogdan Paprocki, Andrzej Hiolski, Włodzimierz Denysenko, Chór „Echo", orkiestra PFL, dyryguje Adam Natanek).

Co zaś tyczy się pierwszych miesięcy 1980 roku, to Filharmonia nie dysponuje ostatecznymi ustaleniami repertuarowymi, poprzestanę zatem na zasygnalizowaniu nazwisk wykonawców. I tak oprócz Adama Natanka i Ryszarda Komorowskiego orkiestrę Filharmonii poprowadzą Lucjan Jaworski, Wojciech Rajski, Zygmunt Rychert, Grzegorz Nowak oraz dyrygenci z NRD. Entuzjaści skrzypiec usłyszą Kaję Danczowską, Barbarę Górzyńską i Zbigniewa Zienkowskiego (w *Koncercie A—dur* Mozarta). Pianistykę, oprócz wymienionych już artystów, reprezentują Ivan Klanski (CSRS), duet Kadama (Japonia) oraz Teresa Księska. Wystąpi troje wiolonczelistów — Andrzej Orkisz (pamiętają Państwo *Koncert podwójny* Brahmsa?) z klawesynistą Leszkiem Kędrackim oraz Bożena Stawińska i Wanda Głowacka. Członkowie Tria Stroikowego przyczynią się, tym razem jako soliści, do lubelskiego prawykonania koncertów Ryszarda Straussa na obój (Jan Arnal) oraz na klarnet i fagot (Andrzej Mazur i Henryk Bystrzejewski). Mam nadzieję, że wraz z Martą Szermińską sprezentują nam, równie znakomity jak przed rokiem, wieczór kameralny.

Sezon zamknie oczywiście IX Nałęczowskie Divertimento i koncerty dyplomantów szkół muzycznych.

Wspomniałem tu oczywiście o tych dwóch podstawowych kierunkach działalności Filharmonii, które Państwa najbardziej interesują — to jest o formach symfonicznych i oratoryjno-kantatowych oraz kameralnych i solistycznych. A przecież wypełniają one ok. 15% rocznego planu koncertów. Resztę stanowi działalność może mniej efektowna, ale jej społeczno-kulturalnych rezultatów nie da się przecenić; myślę o blisko ośmiu setkach kameralnych audycji umuzykalniających dla szkół makroregionu lubelskiego, realizowanych w ramach 10 tematów i o koncertach dla zakładów pracy. W ubiegłym sezonie Filharmonia Lubelska mogła pochwalić się liczbą 1047 koncertów — nie sądzę, aby jakakolwiek instytucja muzyczna poza Filharmonią Narodową miała podobne osiągnięcia.

POCZTA literacka

S. T. Biłgoraj. Wiersze są dobre, ale bardzo niedzisiejsze. O czym zresztą bowiem sama data ich powstania. Wprawdzie nie tym się kierujemy przy ocenie, ale anachroniczność treści wybija się tu ponad dopuszczalny tradycjonalizm formy, dlatego skorzystać nie możemy.

R. M. Będzin. Pisze Pan o swoich tekstach, że „nie są złe i zasługują na druk". Bylibyśmy cokolwiek innego zdania. Co np. mówi jedna z „myśli poetyckich": „Ludzie są smutni i dlatego poszukują uśmiechu"? Stokrotnie tak, tylko co z tego?

Róża M. „Na podstawie dwóch wierszy" w zasadzie trudno napisać coś o autorze, ale w tym wypadku sprawa jest ułatwiona. Te dwa zawierają wystarczającą próbkę. Otóż nie są to wiersze, są to teksty piosenek i to takie, które dopiero trzeba podciążać dobrą muzyką. Proszę Pani, czy warto pisać wiersz, by stwierdzić, że dojrzałe poziomki to smaczne owoce leśne i dobrze je konsumować we dwoje? Wiersz musi coś powiedzieć, przynieść coś nowego, przynajmniej podjąć taką próbę. Przecież w najzwyklejszej mowie codziennej słyszy Pani stwierdzenia znacznie ciekawsze. Więc pisze Pani wiersze, by powiedzieć mniej ciekawie? Proszę wybaczyć szczerość, ale o nią Pani chodziło.

A. D. Lublin. Coś za bardzo do prozy zbliża się Pański tekst poetycki. Wprawdzie granica między tymi dwoma rodzajami już dawno się zatarła, ale proszę zauważyć, że korzystają z tego poeci niższego lotu, nie mający za wiele do powiedzenia w sensie poetyckim, a bazujący na tej taryfie ulgowej udostępnionej przez krytykę. Ponadto czymś innym jest treść poetycka poddana bezpośrednim zapisom prozatorskim, jakby brulionowa notatka do wiersza, a czym innym prozatorskim środek wyrazu nie zwaloryzowany poetycka wymowa. Wiersz proza posługiwać się nie może choćby dlatego, że jest krótki, że skończy się prędzej nim zdania pozornie obojętne, pełniące funkcje jakby wyłącznie informacyjne, przygotowujące wrażenie zdąża przerosnąć w głębszy sens. Krótki to metraż, więc i kondensacja z konieczności musi być większa.

R. Z. Częstochowa. Opowiadanie na stroniczkę, dwie druku. Proszę bardzo, ale ileż intensywniej trzeba skomprymować treść, nasycić ładunkiem intelektualnym, napiąć pointę. Owszem, może nawet i jakaś moda na to zaczyna się rysować, ale to jeszcze nie argument. Jedyny argument to efekt artystyczny, jaki z tego wyniknie. A dotychczasowych u Pana nie oceniałbym zbyt wysoko. Nie trzeba być zadowolonym. Przeciwnie, z niezadowolenia w pisaniu jest więcej pożytku. Szczególnie kiedy stawia się pierwsze kroki. Bo te miniatury oceniam jako świadectwo początkowych pana kontaktów z uprawianiem literatury.

S. G. Konin. Widać pewną wrażliwość poetycką, ale też trochę nieporadności warsztatowych. Dlatego do zbyt wczesnego druku bym nie namawiał. Lepiej wystartować od razu z pozycji bardziej zaawansowanej. Po cóż później mieć sobie za złe wystawienie nie najlepszej legitymacji? A lepsza — mam wrażenie — po pewnym czasie się znajdzie.

B. C. Tarnów. Ma Pani rację, ja też odbieram wrażenie, jakby w poezji, w twórczości literackiej w ogóle nastąpiło coś w rodzaju wstrzymania oddechu przed podjęciem dalszych zamierzeń i usiłowań. Tak to sobie sam tłumaczę i dla dobra literatury chciałbym się nie mylić. Widocznie coraz częściej do świadomości twórców dochodzi przekonanie że stare watki się wygrały, że czas rozglądać się za motywami i postawami nowymi. Przecież te stare i tak za długo znajdowały się w użyciu. Zastanówmy się: ile elementów formalnych pozostało w poezji od jakichś dwudziestu lat? Przy tempie naszego życia, przy zjawisku, na które poezja ma obowiązek reagować natychmiast?

T. J. Janów Lubelski. Powiedzieć, że mi się opowiadanie podoba? Owszem, nie potrzebuje tajć. Ale podoba mi się, że tak powiem, w rozmiarach zmniejszonych, jak obrazek, nie jak obraz. Wprawdzie zręczna akwarelka zawsze jest milej przyjęta niż wielkoformatowy, w dodatku napuszony kicz, ale to nie znaczy, że nie należy dążyć do poszerzenia kręgu widzenia. Zachowując te sprawność opisu musi Pan „nasycić ważnością" opisywane sceny, przedstawione sprawy. Chyba, że to wszystko ewoluuje w stronę groteski, humoreski, dowcipu. Wtedy — zastrzegam z góry — zadanie się nie zmniejszy, się przejdzie — pozwolę sobie na metaforę — w inną kwadrę. Wtedy szerokość widzenia będzie można sobie darować, ale za to zwiększeniu musi ulec wnikliwość spojrzenia. W każdym razie życzę powodzenia.

B. W. Gdynia, J. F. Lublin, K. A. Puck, H. L. Wałbrzych, Z. N. Gdynia, J. H. Skarżysko — Kamienna, R. C. Ciechocinek — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA
(nr 19)

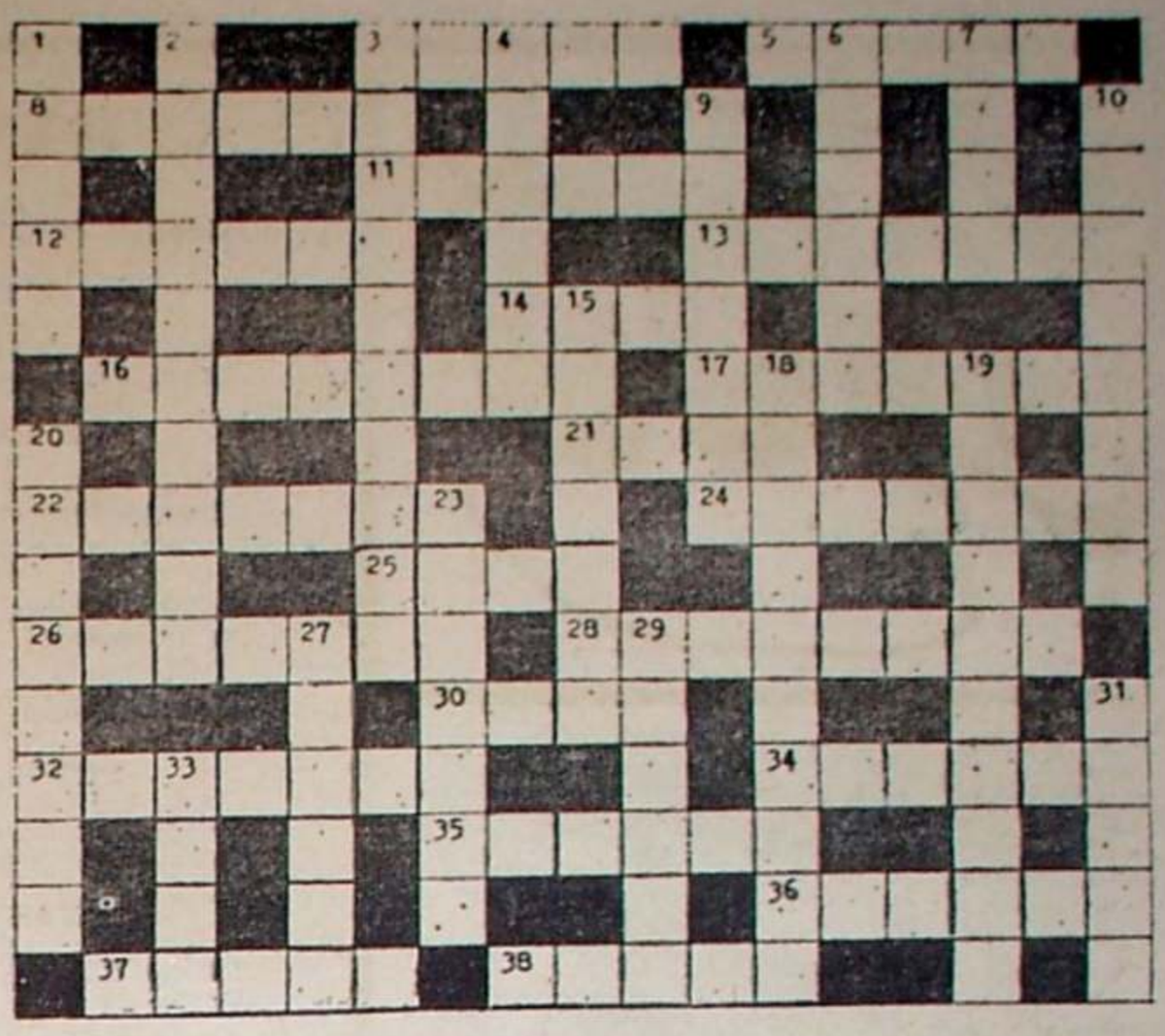

Poziomo: 2. pisarz radziecki, autor m. in. „Matki", 5. szpalta o nim na drugiej stronie „Kameny", 8. podstawa działa, 11. martwy ale znany język, 12. miesiąc, 13. mniej niż strategia, 14. papiery urzędowe, 16. stan zdrowia, wytrzymałości i siły, 17. najwyższy szczyt Gór Kaczawskich, 21. miasto wielkiego państwa starożytnego Persów, 22. pracownik naukowy muzeum, 24. piękna i mądra żona Perykiesa, 25. kicz, zły obraz, 26. miasto starożytnych igrzysk, 28. komedia muzyczna starej daty, 30. wartość sprzedażna, 32. ręczna broń palna z XVI wieku, 34. indiański szałas mieszkalny, 35. szkoła filozoficzna wywodząca się od Zenona z Elei, 36. laska z siekierką alpinisty, 37. samodzierżawca dzikusów, 38. łzy płyną.

Pionowo: 1. różnokształtna grządka kwiatowa, 2. był między tymi, co jedzą, piją, lulki palą, 3. poeta polski, autor m. in. poematu „Niobe", 4. romantyczna rzeczka, 6. jedna z trzech części „Boskiej komedii" Dantego, 7. czołg czterech pancernych, 9. radziecki sklep w Warszawie, 10. zasłona okrywająca głowę i twarz kobiet muzułmańskich, 15. wieloboczne pole na stropie lub kopule malowane lub wypełnione rzeźbą, 18. poeta polski z przełomu XIX i XX wieku, autor „Księgi ubogich", 19. wybitny krytyk literacki i pisarz polski z lat międzywojennych, autor m. in. „Walki o treść", 20. gimnastyk lub artysta cyrkowy, 23. dowód opłaty pocztowej, 27. pensja, wynagrodzenie za pracę, 29. skrócony podpis, 31. posiada urząd administracyjny pierwszej instancji, 33. państwo socjalistyczne na zach. półkuli.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 17

Poziomo: Krzywoszewski, mówca, sorgo, segment, Dubiska, annał, Lipce, Godebski, owacja, Szajna, parada, Neapol, Rudnicki, idole, oksza, elektor, Ulanowa, zenit, Kobra, Chruszczewski.

Pionowo: Różewicz, kameleon, zastawa, waran, siodło, efeb, sens, inwalida, imbir, Agata, depo, walc, cynik, strzelec, Janek, Alibabki, Delaware, Plautus, korzec, sanie, emir, tors.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 17 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Jerzy Woźniak 20-065 Lublin, Grażyny 13/16, Lidia Zawrzykraj 02-150 Warszawa, Czesława Tańskiego 5/11, Helena Cieplińska 00-380 Warszawa, Białobrzeska 10/2, Marian Hłuszanin 00-608 Warszawa, Al. Niepodległości 188.

Listy do kameny

ŚWIETLISTE WODY

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Ostatnio mówi się o tak zwanych „świetlistych wodach" — dziwnych światłach pochodzących z głębin oceanicznych, widywanych czasem przez załogi statków, samolotów, a ostatnio także i przez kosmonautów. Natura zjawiska nie jest oczywiście znana, choć wielu naukowców przypisuje to działalności Kosmitów, czy też bliżej niezidentyfikowanej działalności istot rozumnych żyjących w głębinach oceanów. Wiadomo jednak, że nie każde dzieło naukowca musi być dziełem naukowym! Mam na szczęście trochę rzetelnych informacji — dotyczących tych zjawisk — informacji, którym można w pełni zaufać.

I tak na przykład miesięcznik „Science et Vie", w lutym 1975 roku, podaje m. in., że pierwsze wiarygodne relacje o tych zjawiskach odnotowano już 100 lat temu. W 1879 roku członek Royal Society, kapitan statku „Vulture" relacjonował: „Noc bardzo ciemna — niebo pokryte gwiazdami. Promienie światła wychodzą z głębiny — mają one charakter bardzo szybkich drgań. Z lewej burty okrętu, przypomina to szybko kręcące się olbrzymie koło, o szprychach z promieni świetlnych. Konwergencja tych kręgów jest jedynie złudzeniem — w rzeczywistości bowiem, są to równoległe kręgi światła. Szerokość każdego kręgu — około 8 metrów, przerwa między nimi — 25 metrów, szybkość, z jaką poruszają się te kręgi — około 130 kilometrów na godzinę".

A oto inne jeszcze, sprawdzone świadectwo, przekazane przez kapitana statku „Shahinhean" R. E. Harrisa, obserwowane w styczniu 1880 roku: „Podczas bezksiężycowej nocy, przy spokojnym morzu — załoga dostrzegła nagle błysk światła na powierzchni wody. Błysk ten rozszerzał się szybko w postaci łuku unoszącego się kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią wody. Shahinhean kontynuując swoją podróż przeciął w jednym miejscu koniec tego łuku i został otoczony czymś w rodzaju mgły, z przebiegającymi przez nią błyskami światła. Smugi te pochodziły niewątpliwie z głębiny oceanicznej — przebiegały bowiem i pod statkiem. Były to promienie światła w kolorze srebrzystym, które rozpraszały się nad morzem."

Ciekawe jednak jest to, że owe zjawiska świetlne, które niewątpliwie pochodzą z głębiny — obserwuje się zawsze w rejonach tzw. „rombów Sandersona" — to znaczy między innymi w rejonie legendarnego Trójkąta Bermudzkiego, czy Morza Diabelskiego.

Profesor Ivan Sanderson, w artykule „The Twelve Devil's Graveeyard Around the World", opublikowanym w piśmie „Saga" twierdzi, że Ocean Światowy jest poprzetykany jakgdyby dwunastoma regularnie powtarzającymi się regionami, gdzie występują anomalie magnetyczne i prawdopodobnie grawitacyjne. Jest to oczywiście hipoteza, ale... w tych właśnie rejonach w tajemniczy sposób giną statki i widuje się tam często niezidentyfikowane obiekty latające i podwodne.

O ile jedni starają się przypisywać różnorakie dziwne, niezidentyfikowane zjawiska Kosmitom, czy też jakimś innym, bliżej niesprecyzowanym siłom sterowanym przez jakiś potężny intelekt, tak inni znowu starają się do tych skomplikowanych niewątpliwie zjawisk „dorabiać" nader proste tłumaczenia. I tak na przykład akademik E. Alftan twierdzi, że przepływający z oświetlonej strony Ziemi na ocienioną prąd wynosi aż 300000000000000000 amperów!!! Tym tłumaczy wszelkie tajemnicze zaginięcia w „diabelskich rejonach", anomalie magnetyczne, świetliste kręgi, wiry okrężne i spiralne, mgłę i inne dziwne rzeczy, które mają miejsce w owych dziwnych rejonach. Zapytać by jednak należało, dlaczego ten straszliwy prąd działa wybiórczo, dlaczego unicestwia tylko ludzi i ich pływające obiekty, nie szkodzi natomiast rybom i innym stworzeniom morskim?

Odpowiedzi nikt nie udzielił. Czyli — kwestia nadal otwarta.

Witold Wawrzonek
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasiewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy, Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4

Numer łamała: Grażyna Sztejke, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Nr indeksu 36251

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji

czas. 2552/1979/19

Rys. Jacek Urbański

FRASZKI

Tadeusz Fangrat

Z ESTRADY

Błyszczy gwiazdka na chałturze,
jaka szkoda, że nie w biurze.

NIEPOROZUMIENIE

Zawinił wilk — owiec amator,
a baran beknął za to.

TROSKA

Najlepiej o brzuch się troszczę,
gdy — poszczę.

Jan Lechicki

PRZYJACIEL DOMU

Przyjaciel domu — fakt do dowiedziony
bywa najczęściej przyjacielem żony.

ZASTRZEŻENIE

Byłabyś Wenus z Milo,
Gdyby nie twoje sto ki.o.

POWÓDŹ FESTIWALI

Jak wzburzona fala po fali
zalewa kraj nasz powódź festiwali.

Janusz Sipkowski

OGŁOSZENIE

Zdecydowanie nabędę
niezbyt wysoką grzędę.

Bogusław Wieczorek

PROPORCJE

Pomocna ręka, ale —
j e d e n serdeczny palec.

Rys. Wiesław Fuglewicz

Janusz Gaudyn

AFORYZMY

Niektórzy ludzie najlepiej czuli by się w budce suflera.

*

Niedostatek wiedzy wprawia nas w zakłopotanie. Jej nadmiar je jeszcze powiększa.

*

Najuczciwszym sposobem wywyższania się ponad innych jest stawanie na palcach.

*

Kto zaczyna dzień od obietnic, kończy go na prośbach.

*

Ci, którzy nie mają odwagi mówić, nie powinni gwizdać.

NIE ZNANE LUBLINIANA ELŻBIETY DRUŻBACKIEJ

Refleksja nad śmiercią JWJMC. pana Tarła, wojewody lubelskiego herbu Topor, zabitego w Warszawie pod Marymuntem o środopościu w pojedynku z JMC. panem Poniatowskim, podkomorzym koronnym herbu Ciołka, zginął w Czerwonej Barwie, powadził się o księżniczkę Lubomirską herbu Srzeniawa imię Hanna.

Rzecz to pewna z praktyki, nie tylko z powieści,
Że rybę bić należy, kiedy się szereści.
Bo ta się w swem tarle tak potężnie głuszy,
Że kto chce, to ją bije, ościami naruszy.
Tarło zjadło cię, Tarło, rzeka cię pożarła,
Żeś innego, swą mając, właśnie szukał tarła.
Gdy w odnodze Strzeniawy, nie chcąc swej miłości
Tarłeś się, któż ci winien żeś został na ości.
Trzeć się było w swym nurcie, nikt by nie przeszkodził,
Choć nurt stary, lecz zawsze złoty piasek rodził.
Choć w nim meat zmącony dość i woda przykra,
Bezpieczniejsza dla Tarła, niż Strzeniawy ikra;
Nieprawdziwa to rzeka, choć z Strzeniawej drogi,
Bo insze rzeki wielkie, insze ich odnogi.
Płynie źródło kanałem, przecież woda czysta,
A kanał zaś kanałem, wszak wie o tem Krysta.
Ten go kanał zagubił, młodszych pragnąc rybek,
Wiedząc, że w starym nurcie nie będzie zarybek.
Zginął w owej dolinie, gdzie się tarła zdały,
I tak zginął przyszedłszy na ciepłe odmiały.
Trą się w marcu szczupaki a od razu giną,
Jak prędko z swego wiru na piasek wypłyną.
W tymże i ten miesiącu, gdy się chciał trzeć żwawie,
Wypłynąwszy z swej wody zginął na Strzeniawie.
Ginie Tarło i nie masz zguby ani zysków,
Tylko Lublin z tej ikry miał wiele półmisków.
Dobrze się osoliło tarło bez ochyby,
Bo ten się odważył na pieprz, kto ważył na ryby.
Miał rezon naturalny odprawować tany,
Nie odpoczął, aż póki nie padł zmordowany.
Był drabant, był goniony, przez rok cały hulał,
Póty skakał, aż póki krwią się nie zanurzał.
Dobry orator, żeby sensu nie rozłączyć,
Powinien, na czem zacznie, na temże i skończyć.
Więc i ten dobry retor, biegły w takiej sprawie,
Jako zaczął, tak skończył taniec swój w Warszawie.
Miał tu honor, że prymu w najgodniejszym domu
Nie dał wziąć przed Hanusią niegdzie i nikomu;
Dlatego też na placu nikt go nie uprzedził,
Wziął go temu co krew mu aż do kropli scedził.
Główne było pląsanie owej damy ładnej,
Gdzie głową taniec płacił Jan Herodyadny;
Podobna i w Warszawie tego kształtu dama
Tak tańczyła, aż serce wyrwała z Adama.
Adamie, gdzieżeś teraz? Polska cię nie pyta,
Gdzie purpura, gdzie wdzięków piękność znakomita?
Kędy są marszałkowskie teraz scypiony,
Które sam Mars piastował rękami Bellony?
Byłeś cały na wojnie, byłeś jako w raju,
Pókiś prawa słuchając nie jął się seraju;
Lecz gdyś na ordynanse przystał nierozumne,
Zmieniłeś w krew purpurę, a krzesło swe w trumnę;
Zgrzeszył Adam natenczas, gdy go Ewa kusi,
Tak i ten zginął Adam słuchając Hanusi.
Równa śmierci przyczyna, ale śmierć odmienna,
Kto wie, czy tak dobra, czyli tak zbawienna,
Bo aż do ostatniego z pierwszych żartów balu,
Nie był żaden podobno momencik do żalu.
Nieszczęsny punkt honoru i ambit w imieniu
Wszystkie zabrał godziny, myśli o zbawieniu.
Pchnięty w serce, gdy pada na śmiertelne łoże,
Nie stęknął i nic nie rzekł, tylko: „O mój Boże!"
Trudno to eksplikować, co to słowo znaczy,
Może za grzech żałował, może też inaczej.

Powyższy utwór, nie drukowany w zbiorze poezji Drużbackiej, opublikował w r. 1895 W. Bojarski [1]). Treść satyry dowodzi, że tyczy ona okoliczności śmierci Adama Tarły, wojewody lubelskiego w latach 1736—1744, który poległ w pojedynku z Kazimierzem Poniatowskim 16 III 1744 r.

Opinia publiczna potępiła Poniatowskiego za śmierć Tarły, ale Drużbacka widocznie nie podzielała tej opinii, gdyż nie szczędzi demaskatorskiej, ośmieszającej, ostrej krytyki wojewodzie, który, (mając żonę) pojedynkował się o kobietę.

Pamflet ten, odznaczający się dużą dozą dowcipu (zawartego przede wszystkim w grze słowa „tarło"), stanowi ciekawy i znaczący przyczynek do badań dziejów Lublina, biografii Tarły (stronnika króla Stanisława Leszczyńskiego), obyczajów epoki i twórczości E. Drużbackiej.

Janina Hildebrandt-Grzegorzewska

[1]) W. Bojarski „Elżbieta z Kowalskich Drużbacka. Życie i pisma". — Sprawozdanie Dyrekcji c.k. Gimnazjum w Przemyślu za rok szkolny 1895. Przemyśl 1895.

SŁOWNICZEK:

meat — przechód
Jan Herodyadny — Herodiada, żona Heroda Antypasa, przyczyniła się do śmierci św. Jana Chrzciciela
scypiony — laski
eksplikować — wyjaśnić

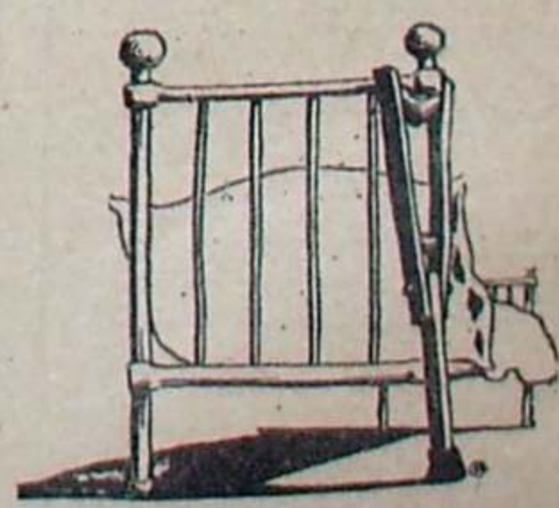

Rys. Zygmunt Pytlik